



ODLEWNIA ŻELIWA ŚREM
NSZZ

Solidarność

1980 - 2005



1880-2005

125 lat Koła Śpiewackiego „Moniuszko” w Sremitu

ks. Piotr Wawrzyniak



W numerze wrześniowo-październikowym:



**Nigdy nie żałowałem
swojego zaangażowania 2**



ISLANDIA 2004 cz. II 14



**Odważni Kuklarzowie na
tropie szalbierstw Gryziogona
i jagiellońska kariera rodu
Łodzia Opalińskich 6**



Przeznaczony na życie 22



Spadkobiercy Pilaszkowa 10



**Ksiądz z odległych
krańców Wielkopolski 25**

W 25. rocznicę powstania „Solidarności”

Nigdy nie żałowałem swojego zaangażowania

Rozmowa z przewodniczącym Komisji Międzyzakładowej NSZZ „Solidarność” Odlewnia Żeliwa Śrem S.A. RYSZARDEM GÓRNYM

- 25 lat, to okres dostatecznie długi, aby wiele szczegółów mogło już zatrzeć się w pamięci. Warto więc z tej rocznicowej okazji przypomnieć początki Związku w Śremie.

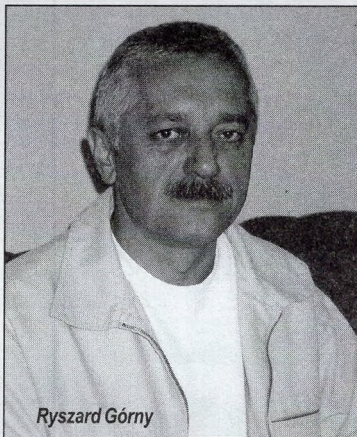
- Właśnie kończę pisanie takiego materiału i mam tę historię na świeżo przypominaną. Choć przyznam, że nieraz musiałem sięgać do archiwum. I taki materiał wspomnieniowy będzie. A zaczęło się u nas oczywiście od Wybrzeża, z którego dochodziły do nas wręcz sensacyjne wiadomości. Wśród załogi, wśród ludzi, którzy mieli krytyczny stosunek do rzeczywistości wywoływały one dyskusje, rozmowy, a przede wszystkim chęć dołączenia się do tego, co się tam działo. Trzeba tu jeszcze dodać, że w "Cegielskim" zawsze pamiętano o Poznańskim Czerwcu i że czuliśmy się jakby strażnikami pamięci o nim. Może też i dlatego zareagowaliśmy tak szybko i spontanicznie. Przy W6 spotkała się grupa reprezentantów poszczególnych wydziałów i trzy osoby z tego grona upoważniono do kontaktów z zawiązanym właśnie komitetem strajkowym w "Cegielskim". Komitet ten przekształcił się wkrótce w komitet założycielski związku zawodowego. Jednak "Cegielski" miał silne poczucie swojego znaczenia i stąd początkowo myślano o założeniu własnego związku.

Nam jednak, tu w Śremie, chodziło o wsparcie tego, co się działo na Wybrzeżu, żeby to miało moc. A pojawiła się w Odlewni grupa Zenona Ratajczaka, która miała kontakty z Wrocławiem, gdzie już zaczęły powstawać struktury, takie jak na Wybrzeżu, i tam zadeklarowano chęć utworzenia komitetu założycielskiego w Odlewni śremskiej. Skończyło się jednak tak, że w "Cegielskim" posłuchano

dobrych rad ekspertów i zdecydowano o przyłączeniu się do struktury ogólnokrajowej z Lechem Wałęsą na czele. Tak, że w parę dni po nas powstał komitet założycielski w Poznaniu. Zgodnie z sugestiami z Wybrzeża powstał też zarys struktury obejmującej obszarem i nasz zakład. Jednak zarejestrowaliśmy się w Poznaniu nie pod szyldem poznańskiego "Cegielskiego", lecz oddzielnie jako Odlewnia Śrem. Nastąpił okres organizowania się, ale jednak w pewnej próżni prawnej - bez statutu i rejestracji, która na szczęblu ogólnokrajowym nastąpiła 10 listopada 1980 roku. Poprzedzała ją seria strajków ostrzegawczych, do których i my się przyłączaliśmy dysponując już siłą naszego związku, bo mieliśmy trzy tysiące deklaracji członkowskich.

Ta praca organizacyjna trwała u nas właściwie cały czas, od końca sierpnia do końca roku - związek wypracował statut, zasady wyborcze, wybrano władze na pierwszą kadencję. Wówczas przewodniczącym został Grzegorz Kaczmarek. Odbłyło się też walne zebranie delegatów Regionu. Delegatem na zjazd krajowy z Odlewni został Andrzej Worsztynowicz, co było dla nas wielkim wyróżnieniem, bo wówczas jeden mandat przypadał na kilka tysięcy członków. W październiku badając powstała komisja koordynacyjna w Śremie, której przewodniczył Kazimierz Ginter i po pewnym czasie powstało 36 komisji zakładowych, i mamy odnotowane, że liczba członków wynosiła wówczas 7200. Tak więc praca tej komisji polegała na pomocy poszczególnym zakładom w tworzeniu związku, zajmowano się również kontaktami z władzami miejskimi w sporach ponadzakładowych.

Równocześnie z pracami organizacyjnymi trwała walka na przykład o wolne soboty, z których korzystamy do dziś. Poruszało się też problemy wewnętrzne w Odlewni.



Ryszard Górny

Przy czym należy przypomnieć, co jest dziś niezrozumiałe, zawłaszcza dla młodych ludzi, że wówczas czy to sprawy bhp, czy płac, nie były decyzjami pracodawcy, a decyzjami politycznymi. Ponadto w tamtych czasach kandydaci na każde stanowisko kierownicze musieli być zatwierdzani przez egzekutywę i rzadko którym udawało się uniknąć przynależności do PZPR. Tak więc na tych osobach łatwo było wymusić obstrukcyjne stanowisko do naszego Związku, natomiast niemal wszyscy poniżej tej kierowniczej hierarchii w firmie identyfikowali się wtedy z "Solidarnością". Choć zdawaliśmy sobie sprawę, że nie zawsze szczerze, nie mówiąc już o tych związanych ze służbami specjalnymi. To się zresztą miało okazać w czasach trudnych dla Związku.

- No tak, zbliżał się stan wojenny i pewnie czegoś podobnego spodziewaliście się, bo ta nieustanna walka o istnienie związku i świadomość, że jesteście jakby "ciałem obcym" w tamtym świecie musiała cały czas budzić i podejrzenia i obawy.

- Tak. Cały czas żyliśmy w przeświadczeniu, że nie gra się z nami uczciwie, a wydarzenia, takie jak na przykład bydgoskie, utwierdzały nas w tym, że przyzwolenie na nasze działanie jest tylko pozorne. Dlatego wznawiały się też stale dyskusje na temat zagrożeń, działań zmierzających w kierunku spacyfikowania "Solidarności". Właściwie to spodziewaliśmy się tego już w 1980 roku, później na wiosnę następnego roku, potem latem. A pod koniec roku sygnały były już dość czytelne. Choć nie wszyscy chcieli wierzyć w to, aby można się było targnąć na organizację skupiającą 10 milionów obywateli. Obawy były raczej związane z ingerencją zewnętrzną. Przecież mieliśmy nawet instrukcje, aby w takich wypadkach nie doprowadzać do konfrontacji bezbronných ludzi na przykład z czołgami.

Myszę, że koledzy ze szczebla krajowego mieli prawie stuprocentowe informacje o przygotowywanej operacji, tylko data nie była znana. Natomiast u nas w Śremie, dalej od centrali, opinie na ten temat były różne, ale na pewno było więcej wiary, że to się nie stanie, że nie dojdzie do czegoś takiego. Tym większe było nasze zaskoczenie, kiedy to 13 grudnia 1981 roku nastąpiła ta historyczna niedziela bez Teleranka i przestały działać telefony. Zresztą, co warto powiedzieć młodzieży, mało kto z nas miał wtedy telefon. Nie zaczęliśmy się odwiedzać i stąd jeszcze zanim nie było owego Teleranka, wiedziałem, że w nocy zabrano Zenona Ratajczaka i Mariana Piątka. Były więc obawy, co będzie z pozostałymi, szczególnie z grona działaczy. Witaliśmy się pytaniem - no, co ciebie jeszcze nie zgarnęli?

W poniedziałek przyszliśmy do pracy i z inicjatywy Jacka Nowaczyńskiego spotkaliśmy się przy wydziale odlewniczym, żeby się zastanowić, co robimy - czy ogłaszać strajk czy czekamy jak będzie rozwijała się sytuacja w kraju. Zdecydowaliśmy się poczekać. Po tym spotkaniu w

nocy internowano Jacka Nowaczyńskiego. Każdy więc czuł się zagrożony. Zapieczetowano nasze pomieszczenia, wszystko pospisywano, pojawili się w zakładzie oficerowie SB. Wszyscy byli przytłoczeni atmosferą internowania liderów, tymi mundurami, grozą jaka wiała z treści Dekretu o stanie wojennym. Zwłaszcza, że była kompletna blokada informacyjna, a żeby się poruszać po kraju, trzeba było mieć specjalne przepustki. A więc wszyscy wsłuchiwali się w Wolną Europę, żeby się dowiedzieć, co się dzieje. Niezależnie od tego już na drugi dzień stanu wojennego pojawiły się pierwsze ulotki. Różne były reakcje ludzi, część bała się je brać, ale jednocześnie przecież podnosiły one na duchu, że nawet przy tych szykanach jest ulotka - komentarz pewnych wydarzeń czy jakiś apel.

- Dzięki temu "pobieraniu się", zorganizowaniu w stanie wojennym i działalności podziemnej "Solidarność" nie stała się tylko epizodem w historii Polskim, jeszcze jednym bohaterskim zrywem, tylko realną siłą, która w konsekwencji doprowadziła do fundamentalnych zmian.

- Po tym pierwszym szoku, po ochłonięciu zaczęły się organizować struktury podziemne. Mając świadomość, że byliśmy naszpikowani donosicielami i współpracownikami SB, łączyliśmy się w małe, bezpieczniejsze grupy. W Odlewni powstały dwie grupy, które zaczęły działać już w początkach stanu wojennego i kontynuowały pracę związkową. Powołano tak zwane II prezydium komisji zakładowej, próbowano zbudować strukturę podziemną i określić zasady jej bezpiecznego funkcjonowania. Wydawano biuletyny w formie maszynopisów, przystąpiono nawet do podziemnego zbierania składek. Cały czas mieliśmy kontakty z podziemnymi strukturami związku w Poznaniu. Były przekazywane pieniądze i prasa. Sieć kolportażu z czasem się tak rozbudowała, że mieliśmy prasę podziemną nie tylko z Poznania, ale prasę z całego kraju i inne wydawnictwa podziemne. Były też grupy niezależne, które robiły psikusy czy to dyrekcji czy to SB-ekom. One także stale przypominały o istnieniu Związku. W końcu pod naciskiem głównie opinii międzynarodowej zaczęto stopniowo wypuszczać ludzi internowanych. Planowany był też strajk ogólnopolski, jednak na trzy dni przed tym strajkiem powołano sporo osób do służby wojskowej. W tej grupie znalazłem się i ja. Przetrzymano nas tam dobre trzy miesiące, ale to już inny wątek.

W trzydziestą rocznicę Poznańskiego Czerwca zorganizowaliśmy mszę na Jezioranach. Nad wejściem do kościoła ustawiliśmy dwumetrową makietę poznańskich krzyży. Nie pytaliśmy proboszcza o pozwolenie, aby go nie stawiać w trudnej sytuacji. No, i tak wiedział i nie wiedział, bo przecież przyjmował od nas intencję mszalną. Co roku też, w zorganizowanych grupkach i indywidualnie, w każ-

dą trzecią sobotę września, wyjeżdżaliśmy na zainicjowaną przez księdza Jerzego Popiełuszkę pielgrzymki ludzi pracy do Częstochowy. I za jego życia, a potem także dla uczczenia jego męczeńskiej śmierci.

- Czyli wychodziliście powoli z cienia, a w pewnym momencie zaczęło się także wychodzenie na ulice, fala strajków z roku 1988.

- To był znowu sygnał z Wybrzeża. Tam w drugiej połowie 1988 roku sprawy zaczynały znów nabierać nowej siły, przetoczyła się fala strajków w śląskich kopalniach. To dawało nam ducha i jesienią tego roku ludzie, którzy działali w podziemiu i nie tylko, zaczęli się spotykać, najpierw na probostwie, i rozmawialiśmy na temat ujawnienia się. Niektóre osoby w Polsce już to uczyniły, aresztowano je lub nie, ale zjawisko zaczęło się nasilać. I my w styczniu 1989 roku postanowiliśmy też się ujawnić. Były wątpliwość, czy to się powiedzie, czy znów nie zostaniemy spacyfikowani. Ale nie chcieliśmy dłużej czekać, zaprzepaścić szansy i wespół z Odlewni to, co się działo w kraju. Oficjalnie zawiadomiliśmy dyrekcję o powstaniu komitetu organizacyjnego związku "Solidarność" z wykazem nazwisk, prośbą o udostępnienie pomieszczenia. Przez pół roku działaliśmy w pustce prawnej - bo ponowna ogólnopolska rejestracja "Solidarności" była chyba dopiero w czerwcu - mając cały czas świadomość zagrożenia, że zostaniemy znów potraktowani jak wywrotowcy.

- Czyli przechodziliście ponownie przez cały ten proces sądowo-rejestracyjny...

- Tak się stało. W okresie stanu wojennego stworzono bowiem na siłę OPZZ i wielu ludzi "ubabrało się" w nim. Po tej odwilży wprawdzie się wypisało, ale nie chciano ich przyjmować do "Solidarności". Uważano, przynajmniej wtedy w tym początkowym okresie, że dali się złamać, nie wytrzymali presji. I dlatego odtwarzana "Solidarność" w roku 1989 to nie było już 90 procent załogi. Pamiętam, że Odlewnia zatrudniała wtedy ponad 3300 osób, a do "Solidarności" przyjęliśmy około 900 członków. Nie bez znaczenia były też ciągle żywe obawy, że może pozwolą nam działać rok albo dwa i znów będą represje. Nie było już tego entuzjazmu i tej pewności z roku 1980.

- Ale był to też czas kiedy zmieniało się całe otoczenie. Związek uczestniczył nie tylko w zmianach w zakładzie, ale również w mieście - bo zmieniało się wszystko, i władza i system ekonomiczny, przygotowywano się do pierwszych demokratycznych wyborów.

- Niezależnie od chęci, aby zajmować się głównie sprawami związkowymi, byliśmy przecież świadomi swojej odpowiedzialności za zmiany. Solidarność dała swój autorytet w tworzenie ruchu obywatelskiego - komitetów obywatelskich, które zajęły się przygotowaniami do wyborów samorządowych i tworzeniem koncepcji zmian ekonomiczno-ustrojowych. Drukowano cegiełki wspomagające ten ruch polityczny, drukowano i kolportowano materiały informacyjne, rekomendowano kandydatów. Na szczeblu

krajowym byli to ci, z którymi sfotografował się Wałęsa. Natomiast w Śremie w tym wszystkim przewodzili solidarnościowcy. Wiadomo, że w tej pierwszej "Solidarności" byli ludzie zainteresowani polityką, a więc w tej nowej sytuacji spora grupa osób poszła właśnie w tym kierunku. I tak na przykład śremskie władze samorządowe i pierwszy bur-



10.06.1981 - Poświęcenie Sztandaru Odlewniczej Solidarności. Poczet od lewej: J. Wawrzyniak, Z. Ratajczak, J. Weber

mistrz Bogusław Bajoński to właśnie solidarnościowcy, którzy wówczas, w tamtych warunkach zrobili bardzo dużo tworząc podwaliny zmian ustrojowych. Oczywiście później w skomplikowanych uwarunkowaniach gospodarczych już różnie to bywało. Trzeba było mierzyć się z problemami, z którymi borykamy się do dziś.

Wiemy, że przemiany społeczno-gospodarcze były trudne i wiemy, jakie koszty poniosło społeczeństwo. Pojawiło się bezrobocie, którego nie znaliśmy i szereg innych zagrożeń. Odczuła to również Odlewnia. Nie trafiliśmy z prywatyzacją, działania głównego udziałowca Centrozapu wpłynęły tak negatywnie na nasz zakład, że chodziło już nie tylko o zmniejszanie zatrudnienia, ale o utrzymanie się zakładu. Obecnie wydaje się, że najgorsze trudności zostały przezwyciężone i sprawy idą w dobrym kierunku. Oczywiście, wszystko to działo się stopniowo, tak jak i przeobrażenia były stopniowe, jednak zapłaciliśmy słony rachunek za zaangażowanie polityczne Związku. W konsekwencji na szczeblu krajowym podjęto decyzję o nie łączeniu funkcji politycznych i związkowych. Obecnie dochodzimy

do normalności a Związek skupił swoje działania na obronie praw pracowniczych. Zaś ci co chcieli, pozostali w polityce. Związek jednak nie może uniknąć całkowicie styku z polityką, bo przecież angażuje się w obywatelskie inicjatywy projektów ustaw, które skutkują w dużym wymiarze społecznym. Przykładem są ustawy o wcześniejszych emeryturach czy emeryturach pomostowych i tym podobne.

- Zawsze zadania dyktowała wam konkretna sytuacja, jakie są więc dzisiaj wasze najważniejsze cele?

- Zmieniono, i to przy lewicowym rządzie, prawo pracy. Dotyczy to na przykład świadczeń emerytalnych, przed-emerytalnych czy rentowych, jak również wprowadzono przepisy osłabiające prawa i bezpieczeństwo zatrudniania pracowników. Mimo, że stworzono niekorzystne dla pracowników prawo, to i ono nie jest jeszcze przez pracodawców przestrzegane, pracodawcy nie boją się konsekwencji prawnych. A ponadto dochodzenie przez pracowników swoich praw w sądach ciągnie się miesiącami. Jest też wiele problemów przy tworzeniu związków w firmach prywatnych, gdzie wobec inicjatorów organizowania związków podejmowane są działania bezprawne. "Solidarność", by chronić tych pracowników, wobec których podjęto działania bezprawne, stworzyła fundusz, z którego wspiera finansowo tych pracowników, co najmniej do czasu rozstrzygnięcia sprawy przez sąd pracy. Powoli jednak ta niechęć i

wrogie nastawienie pracodawców do związków zawodowych w firmach jest przełamywana.

- Co pan myśli, kiedy spogląda 25 lat wstecz?

- Nigdy nie żałowałem i nie będę żałował swojego zaangażowania, bo zmierzamy do normalności, choć nie spodziewaliśmy się, że ta normalizacja w każdej dziedzinie naszego życia będzie trwać tak długo, że opór materii będzie tak duży i że zmiana naszej mentalności będzie przebiegać tak wolno.

- Gdybyśmy na początku wiedzieli, jak długo to wszystko potrwa i jak będzie przebiegać, to może zabrakło by nam odwagi.

- Myślę, że nie. A na pewno nie wszystkim. Poprzedni system był tak ohydny, że dla mnie każda szansa, nawet ta odległa, na życie w wolnej i demokratycznej Polsce była i jest cenniejsza.

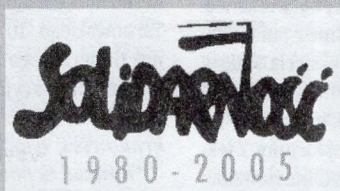
Jestem przekonany, że gdyby nie Sierpień '80 i "Solidarność" żyłbym dziś w kraju i warunkach panujących na Kubie czy Białorusi. Myślę, iż szczególnie młodzi ludzie słuchając informacji stamtąd muszą mieć świadomość, że nie jest to jakaś groteska tylko rzeczywistość, którą mieliśmy w naszym kraju jeszcze 25 lat temu.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Barbara NOWICKA

foto: archiwum

Muzeum Śremskie w Śremie NSZZ „Solidarność” Śrem, zapraszają na WYSTAWĘ



Muzeum Śremskie
ul. Mickiewicza 89 tel. 28 35 938
www.muzeum.srem.pl
wystawa czynna październik-listopad

Odważni Kuklarowie na tropie szalbierstw Gryziogona i jagiellońska kariera rodu Łodzia Opalińskich

Już tyle tekstu, a wciąż brak tropu śremskiego? Otóż niezupełnie: Piotr Opaliński oprócz wielu godności (był kasztelanem gnieźnieńskim, starostą kościańskim, kopanieckim, pobiedzkim, olsztyńskim), posiadał też starostwo śremskie. Kupił tenutę (dzierżawa dóbr królewskich) śremską po Lasockich już w 1521 roku. Stał się tym sposobem pierwszym z dziewięciu kolejnych właścicieli Śremu (starostów tenutaryjnych) pochodzących z rodu Opalińskich. Około dwustuletni związek tej rodziny ze Śremem skończył się w 1735 roku wraz ze śmiercią Józefa Opalińskiego. Piotr Opaliński ostatnie dziesięć lat życia ciężko chorował. Zmarł bezdzietnie. Tenuta śremska przypadła jego bratanekowi, Andrzejowi. Bratanek doskonale umiał wykorzystać rodzinne koneksje na dworze królewskim. Był bliskim przyjacielem króla Stefana Batorego oraz sekretarza wielkiego koronnego, a następnie prymasa Stanisława Karnowskiego. Ukoronowaniem jego kariery było stanowisko marszałka wielkiego koronnego i starosty generalnego Wielkopolski. Jako główny urzędnik królewski w Wielkopolsce był tu podstawowym oparciem dla Anny Jagiellonki pragnącej osadzić na tronie Polski Jagiellona po kądzieli - Zygmunta Wazę. Nie było to łatwe i bezpieczne zadanie, gdyż szlachecki obóz prohabsburski był także w Wielkopolsce bardzo silny. Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie jego wielką rolę jaką odegrał wspólnie z Janem Zamoyskim w pokonaniu pretendenta - arcyksięcia Maksymiliana Habsburga. Andrzej Opaliński był też świetnym, choć często gwałtownym i bezwzględny, graczem w interesach. Doszedł w ten sposób do znacznej fortuny. Z lektury "Historii Śremu" (pod redakcją Stefana Chmielewskiego) dowiadujemy się, że to właśnie on pobił łaską plebana Jana z Kościana w sporze o dziesięcinę zbożową oraz zakazał kościańskim kupcom przejazdu śremskim mostem, gdyż chcieli to czynić za darmo. Podobno też, zwłaszcza w latach sześćdziesiątych, często procesował się z miastem o opłaty z młynów, warzelni piwa, dochody z miejskich łąk

i lasów i podobno bezprawnie pobierał od miasta królewskie stacyjne wysokości 48 florenów na rok. A przecież jednocześnie - niewątpliwie rozwój Śremu w drugiej połowie XVI wieku, za rządów burmistrzów Jana Bienkowskiego, a potem Wawrzyńca Kuklara Barskiego to okres jego starostowania¹. Również za jego tenuty wystudiowało trzech zdolnych młodzieńców, synów burmistrza Wawrzyńca. Wydaje się, że Andrzej Opaliński miał też znaczący udział w nobilitacji Barskich. Zajrzyjmy do wpisu z Ksiąg Metryki Koronnej dla panowania Zygmunta III Wazy ze stycznia 1591 roku: *"Zygmunt III potwierdza zeznanie Andrzeja Opalińskiego, marszałka wielkiego koronnego, starosty generalnego wielkopolskiego, śremskiego, leżajskiego, przed księgami wierzytelnymi kancelarii koronnej o umowie z Janem Tarnowskim, podkanclerzym koronnym, prepozytem krakowskim, wrocławskim, łęczyckim, zawartej w Warszawie, 23 stycznia 1591 r. Wadium w sprawie wynosi 4000 złotych, należy ona do sądu grodzkiego łęczyckiego albo sieradzkiego. Relacja kanclerza koronnego Jana Zamoyskiego."* Nie znam treści umowy, ale sądzę, że mogła być bezpośrednio związana z protekcją śremskich braci przez Andrzeja Opalińskiego. Bowiem nobilitacja trzech Barskich przez ich adopcję do herbu Rola nastąpiła właśnie za zgodą wspomnianego Jana Tarnowskiego, 10 stycznia 1591 roku, podczas obrad Sejmu Generalnego Królestwa Polskiego. Fragment dokumentu nobilitacyjnego podpisanego przez króla Zygmunta III Wazę mówi: *"...czcigodny Jan Tarnowski prepozyt krakowski, wrocławski, łęczycki oraz wicekanclerz "...uważał, że powinni zostać przyłączeni do jego drzewa genealogicznego zwanego Rola, dajemy i przydzielamy im, potomkom i spadkobiercom spłodzonym przez Macieja i Andrzeja, mianowicie białą różę, na której brzegach w różne strony, w równych odległościach rozstawione są trzy lemiesz pługa na szczycie zaś otwarty hełm rycerski zwieńczony koroną, a z niego*

¹ Rola Opalińskich w historii Śremu, pozostaje jak sądzę wciąż niezauważana. Ich bliskie powiązania z dworem Jagiellonów i Wazów musiały mieć dobry skutek dla miasta. Bezsportny np. wydaje się udział królewskich pieniędzy w budowie starego ratusza, początkach kościoła franciszkańskiego na ul. Poznańskiej, w rozbudowie śremskiej fary i kościoła św. Ducha.



Rys. 1 Herb Rola, do którego Jan Tarnowski przyłączył trzech braci Barskich

pięć piór strusich w górę sięga. Pragniemy zatem, aby nadani szlachcie Jan, Maciej i Andrzej Kochler Barscy oraz ich wolni potomkowie obojga płci mieli ów rysz-tunek, owe drzewo genealogiczne i insygnia szlachectwa. Dano w Warszawie, na Sejmie Generalnym Królestwa, dnia 10 stycznia roku Pańskiego 1591, czwartego roku naszego panowania." Jan Tarnowski herbu Rola był podwładnym i protegowanym Stanisława Karnkowskiego. Wkrótce szybko potoczyła się jego kariera. Właśnie od pamiętnego 1591 r. został podkanclerzym koronnym, w 1598 roku został biskupem poznańskim, potem wrocławskim, a w 1603 prymasem Polski! Zachował się list z kwietnia 1591 roku, w którym Anna Jagiellonka prosi króla Zygmunta III Wazę o pamięć przy wakansach dla wynagrodzenia zasług księdza Tarnowskiego.

Wiadomo powszechnie, że zasługi i największe nawet zdolności wymagają jednak odpowiedniej protekcji. Nobilitacja Barskich była efektem kilku lat starań tak Wawrzyńca, ojca słynnych braci jak i zapewne samego starosty śremskiego, wielmożnego Andrzeja Opalińskiego. Pięć lat przed wspomnianym posiedzeniem sejmu burmistrz Wawrzyńiec opracował stuletnią genealogię rodu poczynawszy od swego dziada Macieja, burmistrza Śremu. Drzewo rodowe było wymagane dla przedstawienia kandydatów w kancelarii królewskiej. Zeznanie burmistrza Wawrzyńca zostało publicznie sprawdzone i potwierdzone przez członków rady miejskiej Śremu: Walentego Ziembę, Grzegorza Sewieczara i Andrzeja Grabskiego. W genealogii pojawia

się zagadka nazwiska Barski (tak nazwano tam pierwszego z rodu Macieja, męża Jadwigi, burmistrza Śremu z przełomu XV/XVI wieku, pradziadka znakomitych braci). Ale przecież we wpisach na studia uniwersyteckie w Krakowie, w Padwie oraz Peruggi figurują synowie Wawrzyńca jako Kuklar - Joannes Kuklar Sremensis, Mathias Kuklar Sremensis i Andreas Kuklar Sremensis. Nie ma tam słowa - Barski. Dopiero na nagrobkach w Warszawie, Krakowie i Florencji widnieje nazwisko Barski, które pojawia się tylko nieco wcześniej w nobilitacji i właśnie w owej genealogii sporządzonej przez Wawrzyńca. Jaki miałoby sens używanie przez braci nazwiska pierwszej żony dziadka, jeżeli nie była ich babką. A może właściwe nazwisko rodu zmieniło na potrzeby nobilitacji?

Wiemy, że Bona po wykupieniu od wojewody podolskiego - Stanisława Odrowąża miejscowości Rów, wybudowała tam w 1640 roku zamek dając początek jednej z trzech największych fortec na Podolu. Fortecę nazwała Bar na pamiątkę swego ukochanego Bari we Włoszech. Wiadomo, że dyplomaci polscy jeździli do papieża, cesarzy austriackich i królów hiszpańskich w sprawie barskiej (niespłaconego długu Filipa II). Czy tak głośna wtedy nazwa mogła być przyczyną nadania braciom, a za nimi całej rodzinie, tego szaczonego nazwiska. Może więc pierwotnie nazwisko rodzinne brzmiało Kochler (nm. kuchcik, spolszczenie Kuklar). Być może genealogia została zgrabnie podretuszowana, gdy wytłumaczono, że nazwisko Kuklar jako przydomek wzięto od Barbary, pierwszej żony Michała - dziadka słynnych braci Barskich.

A właściwie dlaczego "słynnych"? Kim byli? Dlaczego ojciec współ (zapewne) z Andrzejem Opalińskim, jak i Anną Jagiellonką tak konsekwentnie dążyli by ich nobilitować, a przedtem być może... nazwać rodzinę - Barskimi?

Przełomem w życiu Jana, najstarszego z braci, było krakowskie spotkanie z królową Anną Jagiellonką, w czerwcu 1583 roku. Od śmierci brata, króla Zygmunta Augusta w 1572 r. rewindykacja zagrabionych dóbr i sum neapolitańskich (barskich) była jej wieczną troską. Co prawda dzięki wysiłkom polskiej dyplomacji już od 1561 roku Filip II spłacał po 43 tysiące dukatów rocznie, jako procent od pożyczonych mu przez Bonę pieniędzy, lecz po śmierci Zygmunta Augusta zaczął spłacać o wiele mniej bo jedynie kilkanaście tysięcy². Anna wciąż jednak łudziła się nadzieją odzyskania podstawowej sumy, a nie jedynie procentów. W skomplikowanej materii tej międzynarodowej afery finansowej Anna potrzebowała wybitnych i wiernych fachowców prawa. Potrzebowała też wsparcia innego rodzaju. Odsuwana od spraw państwowych, żyła w izolacji i w kryzysie duchowym. Stefan Batory choć odnosił się do

² Król Zygmunt August w 1571 roku sporządził testament, w którym przyznał siostrzom Annie i Katarzynie posagi w wysokości 32 tys. złotych węgierskich (tj. po 50 tys. talarów (moneta srebrna) z sum zabezpieczonych na komorze celnej w Foggia (procenty od długu barskiego).



Rys. 3. Królowa Anna Jagiellonka

Rys. 2. Florencja była jednym z najsilniejszych ośrodków medycznych ówczesnego świata. Stąd wywodziło się wielu autorów najbardziej poczytnych i praktycznych podręczników farmakologii, toksykologii i medycyny. **Maciej Barski** (ten po prawej, z hiszpańską bródką i kryzą) był lekaarską znakomitością Florencji. Pełnił nawet rolę nadwornego lekarza Wielkiego Księcia Toskanii. Być może próbował, jak pokazano na ilustracji, wyleczyć księcia **Francisco Medici** wczesną jesienią 1587 r. Wtedy w jeden dzień zmarł książę i jego druga żona **Bianca**. Podejrzewano chorobę zakaźną. Dziś wiemy, że zostali otruci. Naprzeciwko doktora stoi brat księcia i jego następca, kardynał **Ferdinando Medici**.

żony z szacunkiem, starał się być od niej jak najdalej. Milej mu było przebywać w Grodnie niż w Warszawie. Tam odwiedzał swoją kochankę i nieślubnego syna. Od kilku lat mówiono nawet o rozwodzie królewskiej pary. Jan Kochler był w tym czasie poważanym teologiem i kanonikiem kościoła św. Anny w Krakowie i od dwóch lat spowiednikiem penitencjuszem katedry wawelskiej. Miał zatem pełnomocnictwo biskupa do rozgrzeszania z grzechów zarezerwowanych i cezur zastrzeżonych ordynariuszowi. Jan, nie tylko wybitny naukowiec i ksiądz, ale także wrażliwy artysta muzyk (grał na lutni) z pewnością posiadał wrodzone zdolności wnikania w ludzką psychikę. Królowa znalazła w nim oparcie obdarzając go od razu pełnym zaufaniem. Wkrótce Jan zdał egzamin prawa kanonicznego i został także prawnikiem. Otrzymał beneficja w postaci kanonii krakowskiej i kustodii warszawskiej. Przedstawił królowej swoich dwóch zdolnych braci. Starszy, Maciej od prawie dziesięciu lat praktykował medycynę we Włoszech i w tym okresie był już znaną postacią we Florencji. Być może zaczął wtedy pełnić funkcję lekarza **Francesco I Medici**, wiel-

kiego księcia Toskanii. Młodszy, Andrzej właśnie w 1584 roku ukończył studia w Perrugi uzyskując stopień doktorski w zakresie prawa. Wrócił do Polski, gdzie po przedstawieniu swych włoskich papierów promocyjnych, w 1587 roku otrzymał na Uniwersytecie Jagiellońskim potwierdzenie tytułu doktora obojga praw (rzymskiego i kanonicznego) z tytułem profesora ordynariusza oraz możliwość wykładania prawa kościelnego i cywilnego. Zapewne wtedy powstał plan wykorzystania braci dla odzyskania sum neapolitańskich. Rok 1588 był rokiem ostatecznego osłabienia potęgi Filipa II. Niezwyciężona Armada została pokonana. Jednocześnie ten rok stanowił początek pracy braci nad sprawą spadku Bony. Andrzej udał się do Neapolu. Maciej Barski (ten po prawej, z hiszpańską bródką i kryzą) był lekaarską znakomitością Florencji. Pełnił nawet rolę nadwornego lekarza Wielkiego Księcia Toskanii. Być może próbował, jak pokazano na ilustracji, wyleczyć księcia **Francisco Medici** wczesną jesienią 1587 r. Wtedy w jeden dzień zmarł książę i jego druga żona **Bianca**. Podejrzewano chorobę zakaźną. Dziś wiemy, że zostali otruci. Naprzeciwko doktora stoi brat księcia i jego następca, kardynał **Ferdinando Medici**.

W styczniu 1591r. wszyscy bracia zostali nobilitowani. Czy była to nagroda, czy raczej wymóg dla łatwiejszej pracy agenturalnej? Za kilka miesięcy 15 października 1591r. zmarł we Florencji, w wieku 38 lat doktor Maciej i nie zdążył objąć funkcji lekarza nadwornego króla **Zygmunta III Wazy**. Jest bardzo możliwe, że zabił go wirus żółtej febry. Pracował wśród zarażonych pacjentów i tak brzmi wersja oficjalna. Dowodem ma być pochowanie go we wspólnej mogile. Ale przecież cztery lata wcześniej, gdy nagle i jed-



Rys. 4. Król Hiszpanii
Filip II Habsburg

nocześnie zmarli wielki książę Toskanii Francesco I i jego żona Bianca także twierdzono, że sprawiła to zaraza. W tym samym pałacu pod Florencją w Poggio a Caiano przebywało wiele osób, w tym brat zmarłego Ferdynand I Medici i nikt więcej nie zachorował.

Andrzej Barski posłował jeszcze wielokrotnie i oficjalnie do Bari jako sekretarz króla polskiego w sprawie sum neapolitańskich. Wiemy, że część długu odzyskano, czy dużą? Królowa Anna Jagiellonka w dowód wielkiej wdzięczności obdarowała Barskich po-

ważnym fragmentem biblioteki swego brata Zygmunta Augusta. Król uwielbiał czytać, jego biblioteka liczyła ok. 3,5 tysiąca tomów. Być może tą miłość do książek zaszczytował w nim ochmistrz Piotr Opaliński, starosta śremski. Otrzymane księgi w liczbie 858 bracia Andrzej i Jan Barscy ofiarowali jako legat Śremowi. Syn marszałka nadwornego koronnego Andrzeja Opalińskiego, również Andrzej, biskup poznański konfirmował fundację braci Barskich w 1614 r. Wraz z bratem Łukaszem, starostą śremskim doprowadzili do postawienia murowanego kościoła św. Ducha w Śremie (fundowanego przez Barskich).

Swoją drogą, jak dziwnie układają się historie. Gdyby nieokrzestany kondotier Muzio Attendolo z Romanii nie spłodził dzielnego a sprytnego syna Francesco, który założył ród książąt mediolańskich, nasz król Zygmunt I nie wybrałby Bony Sforza za żonę. Gdyby Polacy zechcieli widzieć dalej niż czubek własnego nosa, gdyby posłuchali antyhabsburskich i antypruskich przestróg królowej, gdyby docenili jej pomysły lepszego gospodarowania to nie musieliby uciekać upokorzona do Bari. 19 listopada 1557 roku królowa zmarła. Wśród wielu istotnych konsekwencji przedwczesnego odejścia Bony jest też taka, mniej ważna: w Śremie, przy ulicy Wyszyńskiej nie stałby dziś murowany kościół pod wezwaniem św. Ducha. Zafundowali go bracia Andrzej Kuklar i Jan Kuklar cognomine Barscy, którzy razem z bratem Maciejem prawdopodobnie wiele uczynili dla częściowego odzyskania długu neapolitańskiego i dlatego nagrodzeni zostali adopcją herbowa.

Jedno jest wszak pewne. Obecnie nikt nie modli się tam za braci Barskich, za ich rodziców oraz za miłośnią, bogobojną Annę Jagiellonkę z rodu Sforza. A przecież fundacyjna umowa to gwarantowała! Także śremska biblioteka Barskich została w przeważającej części rozgrabiona i w całości zabrana Śremowi...

SIC TRANSIT GLORIA MUNDI. W końcu minęły cztery stulecia i na oóż nam to wszystko pamiętać.

Ryszard ZAWADZKI

Foto: archiwum

Literatura:

Lidia Owczarczak, "Życie, działalność polityczna i kulturalna braci Barskich ze Śremu" praca magisterska UAM, Poznań 1992
 Maria Bogucka, "Bona Sforza", PIW, Warszawa 1989
 Maria Bogucka, "Anna Jagiellonka", Ossolineum, Wrocław 1994
 pod red. Stefana Chmielewskiego, "Dzieje Śremu", Poznań 1972
 Krzysztof Kęćcik, "Detektywi przeszłości", Focus nr 12(111) 2004

Rys. 5. Kościół św. Ducha w Śremie, wybudowany z pieniędzy braci Jana i Andrzeja Barskich. Widok od strony ołtarza najbardziej przypomina pierwotny wygląd świątyni.



W 100-lecie Związku Nauczycielstwa Polskiego

Spadkobiercy Pilaszkowa

Rozmowa z przewodniczącą Zarządu Sekcji Emerytów i Rencistów przy Zarządzie Oddziału ZNP w Śremie WANDĄ SOŁTYSIAK, członkiem Komisji Historycznej

- Związek Nauczycielstwa Polskiego odwołuje się do zjazdu w Pilaszkowie w 1905 roku, ale musiało upłynąć jeszcze 25 lat zanim taką nazwę przyjęła większość organizacji nauczycielskich.

- 1 października 1905 roku w Pilaszkowie koło Łowicza odbył się tajny zjazd nauczycieli ludowych z Królestwa Polskiego, ale równocześnie istniało w poszczególnych zaborach wiele różnych organizacji skupiających nauczycieli. Wszystkich łączyła walka o polską szkołę, ale prowadzona była w różnych warunkach. Jak wiemy z historii, największa liberalizacja miała miejsce w zaborze austriackim. Jednak rok 1905 to okres wrzenia także w państwach zaborczych, co wymuszało pewne ustępstwa na rzecz żądań narodowych. I tak zjazd w Pilaszkowie, choć tajny podjął nie tylko uchwałę o powołaniu Związku Nauczycieli Ludowych, ale także zadekretował wprowadzenie nauki w języku polskim we wszystkich szkołach od 1 listopada 1905 roku. Tak więc ten zjazd przyjęto uważać za faktyczne narodziny Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Choć oczywiście nie była to ani pierwsza, ani ostatnia organizacja polskich nauczycieli. Przecież w zaborze pruskim już w 1848 roku, w okresie Wiosny Ludów, z inicjatywy wybitnego pedagoga Ewarysta Estkowskiego powstało Towarzystwo Pedagogiczne Polskie. Natomiast w Warszawie, również jeszcze w 1905 roku, powstał Polski Związek Nauczycielstwa oraz Stowarzyszenie Nauczycielstwa Polskiego. W Krakowie zaś w 1913 roku mamy do czynienia z Krajowym Związkiem Nauczycielstwa Ludowego, któremu przewodzili Stanisław Nowak i Julian Smulikowski.

To drzewo genealogiczne ZNP niekiedy rozrasta się, ale też i spaja. Po odzyskaniu niepodległości w 1919 roku powstaje w Warszawie Związek Zawodowy Nauczycieli Polskich Szkół Średnich, a w kwietniu tego roku Związek Nauczycieli Polskich Szkół Początkowych zjednoczył się ze Związkiem Nauczycielstwa Ludowego w Galicji tworząc organizację pod nazwą Związek Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych pod kierownictwem Stanisława Nowaka, Zygmunta Nowickiego i Juliana Smulikowskiego, który był znaczącą postacią ruchu nauczycielskiego w całym okresie międzywojennym. I wreszcie dochodzimy do roku 1930, kiedy na zjeździe w Krakowie nastąpiło połączenie Związku Polskiego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych i Związku Zawodowego Polskiego Nauczycielstwa Szkół Średnich. I z tego połączenia powstaje Związek Nauczycielstwa Polskiego.

- Oczywiście warto pamiętać, że nie była to jedyna organizacja skupiająca nauczycieli, ale był to jednak jeden z najsilniejszych związków zawodowych w Polsce. A może nawet więcej - potężna instytucja społeczna dbająca nie tylko o organizację szkolnictwa, program nauczania, podręczniki, ale także kształcenie nauczycieli, życie kulturalne i wypoczynek.

- Naturalnie. Były przecież organizacje nauczycieli szkolnictwa wyższego, niekiedy bardzo rozdrobnione, ale także i te które reprezentowały poglądy konserwatywno-narodowe. ZNP był postrzegany jako organizacja o zabarwieniu lewicowym, co było później powodem sporych niepotów związku. Ale wracając do okresu tuż po I wojnie światowej. Ważny jest tutaj kwietniowy zjazd oświatowy



Foto: B. Jahns

zwany później Sejmem nauczycielskim. Wzięło w nim udział 802 delegatów reprezentujących wszystkie organizacje i związki nauczycielskie. Uchwalono wówczas, że system oświaty w wolnej Polsce ma być powszechny, obowiązkowy na szczeblu podstawowym, bezpłatny, jednolity i świecki. Obradom przewodniczył poeta Jan Kasprzowicz, profesor Uniwersytetu Lwowskiego. Powszechna i obowiązkowa nauka, to było wielkie zadanie. Zwłaszcza, że w spadku pozostawał problem analfabetyzmu, najmniejszego, bo kilkuprocentowego w byłym zaborze pruskim, ale już kilkudziesięcioprocentowego w zaborze austriackim i rosyjskim.

W 1932 roku ze składek nauczycieli otwarto nowo wybudowany gmach ZNP na Wybrzeżu Kościuszkowskim w Warszawie. Taki widomy znak wzrastania związku w siłę i znaczenie, a także umożliwiający sprawne kierowanie i przeprowadzanie akcji i inicjatyw na szczeblu centralnym.

No, ale przede wszystkim trzeba było się zabrać nie tylko za sieć szkół, ale i za podręczniki, a przede wszystkim za kształcenie nauczycieli. Niezależnie od powstających w Polsce ośrodków akademickich w 1932 roku związek powołał do życia własną wyższą uczelnię Instytut Nauczycielski. Po zatwierdzeniu statutu zmieniono jego nazwę na Instytut Pedagogiczny ZNP, a prowadzili go profesor Stefan Baley i docent Albin Jakiel. Ponadto ZNP prowadziło 17 kursów nauczycielskich i kształcących nauczycieli bez odrywania od pracy. Ten system ustawicznego kształcenia wymagał materiałów, wielu fachowych wydawnictw. W okresie od 1921 roku do 1939 wydawano 454 tytuły, w tym 217 książek dla nauczycieli, 115 książek popularno-naukowych, 32 podręczniki, a także mapy. Do stale aktualizujących się wydawnictw należało 57 różnych czasopism. Na przykład *Plomyk*, *Plomyczek*, *Głos Nauczycielski*, *Ruch Pedagogiczny*, *Praca Szkolna*, *Szkoła Specjalna*, *Psychologia Wychowawcza*, *Rysunki*, *Zajęcia Praktyczne*, *Ilustracja Szkolna*, *Szkolnictwo Doksztalcające*, *WF w Szkole*, *Śpiew w Szkole*, *Szkolnictwo Zawodowe*, *Głos Młodych Nauczycieli*, *Praca w Klasach Łączonych*, *Miesięcznik Literatury i Sztuki*, *Uroczystości Szkolne*, *Szkoła Rolnicza* i inne praktyczne wydawnictwa metodyczne dla nauczycieli.

- Skoro już o tych wydawnictwach mowa, to jedno wydanie *"Plomyka"* stało się przyczyną zatargu z władzami państwowymi, który skończył się strajkami i zarządzeniem kuratorskim.

- 8 marca 1934 roku zmarł wiceprezes związku Julian Smulikowski, który przez 15 lat decydował o jego obliczu ideowym, zaś 6 marca 1936 roku zmarł dotychczasowy prezes Stanisław Nowak. Wraz z ich odejściem skończyła się jakaś epoka, przyszli inni ludzie. Związek niewątpliwie modyfikował się, co spotykało się z krytyką środowisk konserwatywnych i narodowych. Zapoczątkowało ją uka-

zanie się w 1936 roku numeru *"Plomyka"* poświęconemu szkolnictwu w ZSRR, stanowiącego zresztą kontynuację cyklu prezentacji szkolnictwa w krajach europejskich. Do tego doszło jeszcze współautorstwo postępowej deklaracji ideowo-gospodarczej w roku 1937, odmowa przez zjazd delegatów akcesu do powołanego do życia Obozu Zjednoczenia Narodowego. W rezultacie władze państwowe zawiesiły Zarząd Główny ZNP za popieranie idei i tendencji wyraźnie komunistycznych lub z komunizmem graniczących i ustanowiły kuratorem ZNP Pawła Musiała. Nawiasem mówiąc usuniętego swego czasu ze związku. W odpowiedzi na to fala strajków i protestów nauczycielskich objęła cały kraj, co zmusiło rząd do ustępstw i odwołania swoich decyzji. Na nadzwyczajnym zjeździe w 1938 roku wybrano prezesem Zygmunta Nowickiego, a do zarządu weszła większość składu zawieszonego przez rząd.

- A kiedy powstała związkowa organizacja nauczycielska w Śremitu?

- Niestety, nie zachowały się żadne dokumenty z tego okresu. Na podstawie zebranych materiałów oraz wywiadów udało nam się ustalić, że pierwsze ognisko powstało 17 listopada 1920 roku. Pierwszym prezesem był Stanisław Masłoń, a do ogniska należało 23 nauczycieli. Pięć lat później zorganizowali się nauczyciele w Książu i w Dolsku. W Książu prezesem został Józef Guzik, natomiast w przypadku Dolska nie ma danych na temat szefa organizacji. W 1931 roku ognisko związkowe powstało w Bninie, a na jego czele stanął Jan Szwed. Z kolei w 1933 roku powstało 15-osobowe ognisko ZNP w Mosinie należącej wówczas do powiatu śremskiego.

Warto też zwrócić uwagę, że od 1919 roku działało w Śremitu Towarzystwo Nauczycieli Szkół Średnich i Wyższych na terenie gimnazjum. Zajmowało się ono sprawami stosunku państwa do szkoły, uposażeniem nauczycieli, projektami reformy szkolnictwa. Wśród prezesów tego towarzystwa można wymienić profesorów Adama Zahradnika i Józefa Witczaka.

- ZNP zorganizował przed wojną cztery kongresy pedagogiczne. Ostatni odbył się w Warszawie w 1939 roku i opowiedział się za demokratyzacją i jednością szkolnictwa oraz za reformami życia gospodarczego i społecznego w Polsce. Stanął jednak w obliczu innego zagrożenia - nie tylko walki o szkołę i polskość, ale też i po prostu o biologiczne przetrwanie narodu.

- Prezydium Zarządu Głównego postanowiło przeznaczyć cały majątek związku na cele obrony narodowej. Majątek ten był wówczas szacowany na 10 mln złotych. Jednak to Niemcy dobierają się do niego. Wkraczają do gmachów i domów ZNP i aresztują wszystkich znajdujących się tam ludzi. Masowe aresztowania i nierzadko rozstrzeliwanie na-



Z naszego terenu tajne nauczanie prowadziła Maria Skarbek, Zofia Stępczyńska, Leontyna Janiszewska, Władysława Hampel, Władysław Marzec, Cecylia Pankowska, Zofia Lubinińska, Zofia Szarleta, Stanisław Jurga, Helena Bukowa, Kazimierz Giec, Jan Jagieło, Magdalena Jakubczak, Izabela Perlińska, Mieczysław Perliński, Kazimierz Zastawny, Helena Roszczka, Walerian Kita, ks. Witold Olszewski z Dolska.

Zasługi nauczycieli tajnego nauczania dla polskiej szkoły i kultury są bezsporne. Bez tajnej oświaty trudno byłoby młodzieży prze-

uczycieli mają miejsce wszędzie tam, gdzie wkracza okupant. Jednak pozostali w Warszawie członkowie kierownictwa ZNP postanawiają prowadzić działalność jako Tajna Organizacja Nauczycielska. Rząd w Londynie delegował Czesława Wycecha, w uzgodnieniu z centralną piątką TON, dyrektorem departamentu oświaty i kultury w Delegaturze Rządu na Kraj. Wycech działał w oparciu o sieć komórek TON. Warto podać, że tajnym nauczaniem zorganizowanym przez TON, we współdziałaniu z departamentem oświaty i kultury, objęto milion dzieci na poziomie powszechnym, 100 tysięcy młodzieży na tajnych kompletach i w szkołach średnich i około 10 tysięcy w tajnych szkołach wyższych. W Warszawie działał Uniwersytet Ziemi Zachodniej, Uniwersytet Warszawski, Politechnika, Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego, Szkoła Główna Handlowa, Akademia Sztuk Pięknych, Wyższa Szkoła Wychowania Fizycznego. Działały uniwersytety w Krakowie, Wilnie i Lwowie. Już tylko wymienienie w takim telegraficznym skrócie uzmysławia skalę tego ruchu i poświęcenie nauczycieli oraz uczniów, działających na tym polu walki, a także i z bronią w ręku. W Powstaniu Warszawskim zginęło przecież 250 nauczycieli i naukowców, powiększając szeregi tych, co padli wcześniej i później.

Na tajnych zjazdach TON-u, a było ich pięć, omawiano kształt przyszłej szkoły przyjmując za punkt wyjścia projekt Mariana Falskiego - słynnego autora Elementarza - ogłoszony w 1936 roku w broszurze "Walcmy o szkołę", według którego szkoła podstawowa miała być 8-letnia, a średnia 4-letnia. A więc TON-owcy nie tylko walczyli, uczyli, ale także projektowali przyszłość.

uznanie tym wszystkim, którzy niesli młodzieży światło wiedzy, wskazywali drogi patriotycznego postępowania w tamte ciemne lata, w których oświata była orężem.

- I tak doszliśmy do kolejnej cezury. Wyzwolenie nie oznacza powrotu do sytuacji sprzed wojny. Inną szkołę wyobrażają sobie nauczyciele, inną nowa władza.

- Już 12 sierpnia 1944 roku w Lublinie odbywa się pierwsze organizacyjne zebranie członków ZNP i ma miejsce powołanie zarządu grodzkiego. Problem polega jednak na tym, że TON jest ciągle kierowany przez rząd lon-



dyński, trudno więc było o porozumienie. Jednak w styczniu 1945 roku, na zjeździe w Skierniewicach, TON reaktywuje się jako ZNP i podporządkowuje się władzy ludowej. Nie bez sprzeciwu wielu swoich członków. I dopiero właściwie po 1956 roku będzie można głośno mówić o TON-ie, a i później wielu nauczycieli niechętnie się przyznawało, że prowadzili tajne nauczanie. Stąd niezmierna strata dla dokumentacji tego okresu działalności, której do dziś nie udało się porządnie odtworzyć. Przecież w większości ci

ludzie już odeszli lub są w bardzo podeszłym wieku. Choć trwające nieustannie zabiegi, różne konkursy przyniosły cenny materiał faktograficzny malujący obraz zmagani polskiego nauczycielstwa w tajnym nauczaniu.

Wracając jednak do roku 1945. Otóż 21 lipca ministrem oświaty w Rządzie Jedności Narodowej został Czesław Wy-

cech, a listopadzie odbył się w Bytomiu pierwszy powojenny zjazd ZNP, który stworzył podstawy jednolitej organizacji związkowej. W 1946 roku Zarząd Główny podjął uchwałę o przyjmowaniu do związku wszystkich zatrudnionych w oświacie i nauce, a więc także pracowników administracyjnych i fizycznych. Wprawdzie w 1951 roku dokonano zmian

w strukturze zawierając działalność ognisk a wprowadzając zakładowe i międzyzakładowe organizacje związkowe, ale po 1956 roku przywrócono ognia.

7 kwietnia 1949 roku Sejm uchwalił Ustawę o likwidacji do końca 1951 roku analfabetyzmu. W akcji jego zwalczania wzięło udział 52015 nauczycieli. Warto też odnotować, że w lutym 1950 roku Ministerstwo Oświaty przejęło instytuty ZNP przekształcając je w wyższe szkoły pedagogiczne. Jednak przez pierwsze pięć powojennych lat zdążyły one wydać 813 dyplomów ukończenia studiów.

- I można by w tym miejscu zażartować, że żyli szczęśliwie aż do 1981 roku, ale przecież przez ten czas nie brakowało codziennych trudności i większych wstrząsów. Nacisk na szkołę i oświatę, aby realizowała oficjalną linię władzy, był zawsze duży.

- W roku 1980 związek liczył 780 tysięcy członków, posiadał 6 własnych sanatoriów, 10 domów wczasowych i profilaktyczno-leczniczych, 46 domów nauczyciela, 15 hoteli i domów noclegowych, kompleks gmachów w Warszawie z siedzibą Zarządu Głównego ZNP, prowadził 642 kasy zapomogowo-pożyczkowe, 198 klubów, 115 ognisk kultury fizycznej, 140 nauczycielskich kół turystycznych, wydawał 7 czasopism.

Świadczy to nie tylko o stanie posiadania ZNP, ale i o tym, jak wielki był i jest zakres jego działalności. W grudniu 1981 roku w stanie wojennym związek został zawieszony, a ponowna ogólnokrajowa rejestracja i zjazd miało miejsce dopiero w 1983 roku.

W latach 70. przynależność do związku była niemal stuprocentowa, teraz jest różnie. Ale o ile do stanu wojennego działało w Śremie 6 ognisk ZNP, to teraz mamy 12 ognisk i dwie sekcje: Emerytów i Rencistów oraz Pracowników Administracji i Obsługi.

Robimy to, co do nas należy, czyli dbamy o warunki

pracy i płacy, kształcenie nauczycieli, doszkalcenie, sprawy socjalne, zdrowie i wypoczynek. Kontynuujemy sporo form działalności przedwojennego ZNP i najlepsze doświadczenia okresu późniejszego.

Wiemy, jak szybko się zapomina zdarzenia i ludzi. Dlatego nie tylko dokumentujemy naszą bieżącą działalność, ale przez powołanie z inicjaty-

wy Sekcji Emerytów i Rencistów Komisji Historycznej chcemy stworzyć całościowy obraz polskiego nauczycielstwa w Śremie. Mam nadzieję, że na uroczystościach 100-lecia 7 października będziemy mogli wręczyć plon naszej pracy naszym koleżankom i kolegom w postaci broszury. Może ona także przypomni im, choć na co dzień są zabiegani i zaaferowani tym, co się dzieje w szkole, że są przecież godnymi spadkobiercami nauczycieli, którzy zebrali się 100 lat temu w Pilaszkwie w trosce o polską młodzież, polską szkołę i Ojczyznę.

- Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała: Barbara NOWICKA

foto: archiwum



1905 - 2005

ZWIĄZEK NAUCZYCIELSTWA POLSKIEGO

ISLANDIA 2004 cz. II

W morzu

Pomimo korzystnego wiatru do Falstrbo dochodzimy po ponad dobie. I tu spotyka nas niespodzianka. Czynnny dawniej całą dobę zwodzony most nad kanałem jest obsługiwany teraz tylko w dzień i musimy poczekać cztery godziny do rana. W międzyczasie pogoda się psuje, pada deszcz, mgła zasłania wody Sundu. Z braku wiatru pomagamy sobie silnikiem. Z daleka spoglądamy na Kopenhagę. Tym razem nie była w planie. Późnym popołudniem osiągamy Helsingør, gdzie dla uzupełnienia wody i paliwa wchodzimy na krótko. Mała wycieczka po mieście, kąpiel i...po pięciu godzinach płyniemy dalej.

Z zachodu ciągną burzowe chmury. Przez całą noc spadają na nas gwałtowne szkwały z deszczem dając się we znaki sternikom. Wiatr jest jednak z dobrego kierunku i mimo mocno zarefowanych żagli utrzymujemy dobrą prędkość. Jeszcze przez cały dzień i noc zmagamy się z Kattegatem, by nad ranem zacumować w basenie klubu żeglarskiego w Skagen. Posiłek, krótki sen i od rana przygotowujemy się do dalszej drogi. Pojawił się pierwszy problem z pompami zenzowymi. Co prawda nie bardzo było co pompować, ale zasysały ciężko i postanowiliśmy je przejrzeć. Po dwóch godzinach zaraz im się poprawiło, nie było z nimi kłopotu już do końca rejsu. Okazji do poważnego testu dzięki Bogu także nie.

Skagen miał być ostatnim portem przed najdłuższym zakładanym odcinkiem na Wyspy Owce. Poza rutynowym zaopatrzeniem jachtu, prognoząmi pogody odebranymi ze wszystkich możliwych źródeł postanowiliśmy w bosmanacie pozostawić wiadomość o naszej trasie i przewidywanym terminie dotarcia do Torshavn. Tak na wszelki wypadek. Poświęciliśmy na to sporo czasu i wysiłku, jednak nie byliśmy przekonani, że pozostawiona wiadomość do czegoś się przyda. Ot, jeden z wielu świstków na biurku w bosmanacie.

Wychodzimy 21 czerwca o drugiej po południu. Znów deszcz i szkwał, szybko mijamy piaszczyste wypływanie na końcu półwyspu Jutlandzkiego i wypływamy na Skagerrak. Niemiecka prognoza zapowiada pogłębiający się niż gdzieś między Azorami a Irlandią, który wędruje w naszym kierunku, a my w zupełnej ciszy na silniku pchamy się na zachód ku norweskim brzegom. Rano pojawiają się mocniejsze podmuchy z zachodu i mozolnie halsujemy podziwiając piękne skaliste brzegi Norwegii. Nie jesteśmy w dobrych nastrojach. Do wyjścia z pułapki Skagerraku jeszcze

100 mil, wiatr przeciwny, a na Kanale Angielskim już 7 do 8 B i niż dalej pogłębia się wędrując na wschód. Jeśli szybko nie wypłyniemy na Morze Północne, będą kłopoty. Liczymy, że czoło niżu da nam wiatr z korzystnego kierunku i zejdziemy mu z drogi, w razie niekorzystnego rozwoju sytuacji rozglądamy się za portem schronienia.

Zgodnie z przewidywaniami po kilku godzinach ciszy wiatr zaczyna wiać z południowego wschodu szybko tężejąc. Właśnie mijamy południowo-zachodni skraj Norwegii, a więc wszystko OK. Teraz zaczyna się piękna żegluga z wiatrem. Kursem na północny zachód robimy duże przebiegi. 23.06 - 121 mil, 24.06 - 115 mil. Jak wszystkie przyjemności szybko się to jednak kończy. Wiatr stopniowo odchodzi na północny, wysoka fala utrudnia sterowanie, deszczowe szkwały regularnie spadają na jacht. Niż tymczasem maszeruje przez północne Niemcy częstując solidnym sztormem południowe rejony Morza Północnego. My zdążyliśmy odpłynąć już znacząco na północ i jedynie "marne" 7B było naszym udziałem. Szybko rozchodzimy się z nim, a co za tym idzie, wiatr zmienia kierunek, by szybko ustabilizować się jako północno-zachodni. To dokładnie z kierunku, w którym powinniśmy płynąć. Wysoka fala i raz po raz uderzające szkwały czynią żeglugę uciążliwą. Fale z hukiem przelewają się przez pokład, raz po raz wypełniają kokpit i



Staramy się żeglować ostro na wiatr, ale na-
nie-żegnana porwałają jedynie opóźnić spychanie jachtu
na południowy - zachód. Po kilkunastu godzinach wiatr

silniejszy, chmury
ciemniejsze i pok-
ażone. Teraz
człowiek patrzy-
cie na morze. Jes-
tecieś nieważno stało-
wo stare, prawie
człowiek stał się
wzrostem, radość.
Błękit wysoka fala
nie dołacza już
morza, więc twarz
wzrostu się na za-
czniesz, że za-
czniesz przejąć
wielkość

nie będzie możliwe bez dużego nakładania drogi. Posta-
nowimy zatem zejść do Lerwick, odpocząć trochę i do-
prowadzić jacht do porządku. Już wieczorem 25-tego wi-
dzimy wyspę, ale to jeszcze daleko, tym bardziej że wiatr
nieustannie silniejszy. Dopiero około siódmej rano docieramy po-
dobnie wyspę i po godzinie jesteśmy w porcie.

Port całkowicie zapchany jachtami. Stoją wszędzie,
całkowicie głowach portu. O miejscu do zacumowania moż-
na powiedzieć: Postanawiamy odwiedzić rybaków i tam bez
trudu udało się nam znaleźć wolne stanowisko przy po-
rowie. Okazuje się, że trafiliśmy na festiwal Wikingów, z
którym obecnie odbywają się morskie regaty Ber-
gen - Lerwick. To ich uczestnicy tak szczerze wypełnili
port. My jednak mamy co robić. Sprzątanie jach-
ta, drobne naprawy. Okazało się, że pod-
czas remontu żegluga poluzował się maszt w opętniku.
Wstawiamy go gumowa uszczelka zwyczajnie nie wy-
trzymała wypadła. Z pomocą talii grota odcinkiem cumy
wstawiamy go ponownie. Solidna prowizorka do końca
nie przetrwała się bez zarzutu.

Nie przyjęcie ze strony gospodarzy portu pomogło
nam zrobić załatwić wszystkie sprawy. Na tankowanie,
zwiedzenie miasta popłynęliśmy z powrotem
do miasta. Wszędzie mnóstwo odzianych w
skórzane kurtki i toporami, młodych i starszych Wiking-
ów. Przedstawienia, głośna muzyka i lejące się
kufelkami piwa. Obejrzelśmy niewielkie miasto z jego
średnio, zabudową i na noc stanęliśmy z powrotem u
portu.

Obecnym odpływem wchodzimy w dalszą drogę.
Współnie nie mój, znowu deszcz i niskie chmury,

ale wiatr z dobrego kierunku. Mijamy schowany za mgłą
południowy skraj wyspy Mainland, niesieni wiatrem i pra-
dem wychodzimy na Atlantyck.



Na Wyspach
Owczyc.

Niedługo cie-
szyliśmy się z do-
brej żegluga. Nie-
spodziewanie
ogarnęła nas cisza,
a chwilę później ge-
sta mgła. Nieoce-
niony silnik zapew-
nia nam przy braku
wiatru jako tak-
kie przebiegi. Do
Wysp Owczyc
około trzy doby że-
glugi i z niepoko-

jem patrzymy na gładkie morze. Na szczęście od czasu do
czasu pojawia się wiatr i możemy wyłączyć silnik. W sie-
lanek spokojnej żegluga od czasu do czasu wkrada się ja-
kieś wydarzenie. A to zbiornikowiec przechodzi bardzo
blisko przed dziobem, a to jakaś ogromna płetwa ogono-
wa wywabia wszystkich na pokład, delfin zabawia się
przed dziobem. Przemek pozostaje w nieustannym pogo-
towiu, bo jako rejsowy kamerzysta czyha na takie atrak-
cje.

Po dwóch dniach na horyzoncie pojawiają się wyspy.
Wysokie, strome z ukrytymi w chmurach wierzchołkami.
Ich niewyraźny kontur raz po raz znika za lekką mgiełką,
ale zbliżamy się do nich nieuchronnie. Wkrótce jesteśmy
między wyspami. Zmagamy się jeszcze z niekorzystnym
prądem i wreszcie cumujemy. W porcie nie ma stanowisk
dla jachtów, to miejsce dla rybackich łodzi, dalekomorskich
trawlerów lub promów. Poszukiwania dają jednak rezulta-
ty, znajdujemy miejsce i cumujemy bezpiecznie obok ho-
landerskiego jachtu. To jednostka dwa razy większa od
naszego Hipolita, z podobną pięcioosobową załogą. Płyną
na Islandię, tyle że na trzy miesiące. Cóż, nam musi star-
czyć miesiąc.

Torshavn jak na stolicę nie imponuje wielkością. Ma
jednak niepowtarzalny urok miejsca na końcu świata.
Szczególnie stara, dobrze zachowana część z drewniany-
mi domami przykrytymi dachami z darni wzbudza nasz
podziw i żywe zainteresowanie.

Na wyspach pada statystycznie przez 295 dni w roku
i doświadczamy tego w całej pełni. Nie możemy się jednak
tym martwić, mamy za mało czasu na przeczekiwanie do
dobrej pogody. Po obejrzeniu miasta, przegłądzie jachtu i

uzupełnieniu zapasów postanawiamy wybrać się na wycieczkę autobusową po wyspie. Wybieramy najdłuższą trasę, siedemdziesiąt kilometrów jazdy po wyspach. Niezapomniane widoki fiordów, zatok, stromych zboczy i górskich tuneli. Mijamy maleńkie osiedla przytulone do zboczy, maleńkie przystanie pełne rybackich łodzi, stada owiec na każdym kroku. W fiordach liczne hodowle ryb. Mamy wrażenie, że jesteśmy na końcu świata, w jakimś ogromnym oddaleniu od cywilizacji. Tylko miejscowi mieszkańcy nie sprawiają wrażenia zagubionych. Żyją swoim skromnym życiem, uśmiechnięci, zadowoleni. Wszędzie piłkarskie boiska, na których dzieci kopią piłkę.

Na miejskim targu można zobaczyć jak wygląda wielorybi tłuszcz i mięso, które stanowią tutejsze przysmaki. Wygląd, a przede wszystkim zapach odstrasza nas od spróbowania, mimo że rybak bardzo zachęca. Także maskonury (puffin) małe, wodne ptaki stanowią tu przedmiot handlu. W porcie rybackim na nabrzeżu napotykamy dwa szkielety wielorybów oczyszczone z tłuszczu i mięsa, nad którymi pastwi się hałaśliwie gromada ogromnych mew. Niecodzienny i przykry widok wielkiego zwierzęcia pokonanego przez człowieka. Tak, mieszkańcy tych wysp żyją przede wszystkim z morza i to tutaj corocznie w jednej z zatok dokonuje się masowego polowania na walenie.

Dla nas jednak czas się kończy, musimy płynąć dalej. Przed północą opuszczamy spokojną przystań i ruszamy dalej. Niespokojne to akweny, wokół wysp co sześć godzin przewalają się niezmierzone ilości wody przetłaczane przez płływ z jednej strony wysp na drugą. Prądy osiągają cztery węzły i stanowią o porze i kierunku żeglugi szczególnie dla małych jednostek. Wszelkie zwężenia powodują niebezpieczne wiry i bystrza, które mogą być groźne dla naszego jachtu. Szybko płyniemy w kierunku oceanu niesieni przez prąd. Wokół jachtu woda krąży, bulgocze, wygląda się, to znów wzburza jak w gigantycznym mikserze. Musimy się spieszyć, bo na kilkanaście mil do wyjścia na ocean mamy tylko kilka godzin. Wszystko jednak przebiega pomyślnie i rano jesteśmy z powrotem na Atlantyku. Do Islandii zostało 350 mil.

Nareszcie Islandia

Kiedy po dwóch dniach na horyzoncie zabielił się lodowiec Vatnajökull, byliśmy zachwyceni. Oto Islandia, wyspa o której do tej pory jedynie mogliśmy pomarzyć, którą znaleźliśmy z książek i opowieści, teraz była na wyciągnięcie ręki. Dwa lata dyskusji, miesiące przygotowań, tygodnie żeglugi i... jest.

Ocean jeszcze trochę się z nami przekomarzał. Przeciwny silny prąd, przeciwny słaby wiatr i przez kilka godzin nie posunęliśmy się do przodu nawet mili. Pokonanie ostatnich trzydziestu mil zajęło nam cały dzień. Dope-

ro późnym wieczorem wchodzimy do Seydisfjörður. Słońce pięknie oświetlał szczyty wysokich brzegów, śnieg bieleł się na przełęczach, potoki wody kaskadami spadały do morza. A wokół niczym nie zmacona cisza skalistego fiordu i mały jacht, który dla tych wrażeń pokonał tysiąc mil oceanu. Cumujemy dobrze po północy do jednego pływającego pomostu dostępnego dla Hipolita. Cały trud, całe napięcie, niepewność spłynęły z nas natychmiast. Po toście na cześć jachtu, rejsu, załogi i Islandii możemy spokojnie odpocząć. Za kilka godzin czeka nas kolejne wyzwanie.

Jest niedziela, a to poważne utrudnienie. Miasto liczy zaledwie 700 mieszkańców, którzy w niedzielę odpoczywają. Wszystkie wypożyczalnie samochodów są zamknięte. Miłe panie na stacji benzynowej usiłują coś dla nas załatwić, ale tam gdzie się dodzwoniły nie mają tego, co potrzebujemy. Co zrobić, czekamy do poniedziałku. Za to możemy dokładnie przygotować jacht, połączyć go z okolicą, zobaczyć miejscowość. Niewiele jest tu do zobaczenia, kilkadziesiąt domów, żadnego ruchu. Oglądamy port, okoliczne wodospady. Przy okazji sprawdzamy, jak dostać się do Egilsstaðir, gdzie na lotnisku spodziewamy się dostać samochód. Wczesnym rankiem jedynym kursem małego busa jedziemy do sąsiedniego miasta i bez kłopotu pożyczamy samochód. Trochę mały, ale nie marudzimy. To szczyt sezonu i nic innego nie mają aktualnie na stanie. Jakoś musimy znieść ciasnotę.

Wrażenie zrobiła na nas droga. Owszem asfaltowa, ale wąska i niezwykle kręta, stromymi serpentynami wspinająca się na szczyty okolicznych gór. Na odcinku kilku kilometrów trzeba się wspiąć z poziomu morza na wysokość prawie tysiąca metrów. Nie jesteśmy przyzwyczajeni do takich warunków, to też wracamy do Seydisfjörður bardzo ostrożnie. Tam już Wojtek z Anią i Przemkiem przygotowali niezbędny na trzy dni ekwipunek. Zapakowanie całego do auta zajmuje nam chwilę. Bez ociągania ruszamy.

Trasę przygotowaliśmy wcześniej. Wytypowane miejsca do zwiedzania, całość podzielona na trzy etapy. Postanawiamy zacząć zwiedzanie od północnej strony wyspy.

Piękna słoneczna pogoda pozwala nam delektować się przesuwanym się za szybami auta krajobrazem. A ten jest bardzo surowy. Skaliste pustkowia ze śladami roślinności, gołe zbocza gór, rwące rzeki z szarą mętną wodą. Pola zastęglej lawy ciągną się kilometrami, prawie nie ma domostw, asfalt od czasu do czasu zastępuje szutr.

Roman BARTKOWIAK
foto: archiwum

Foto:

1. Hipolit w Torshavn
2. Wodospad na Islandii

Chórowi strzeliło 125 lat!

*"Nim chór osiągnie niebiańską harmonię,
nim bas z sopranem się zbrata,
muszą upłynąć tygodnie, miesiące
a nawet całe lata."*

Jak ten czas leci! Zdawałoby się, że tak niedawno był Jubileusz jubileusz 120-lecia chóru "Moniuszko", a tu już kolejny Jubileusz. 25 czerwca br. chór obchodził swoje 125 lat. O historii jego powstania pisał na łamach Gazy Jerzy Andrzejczak (wrzesień 2000, październik 2000), pisałam też kilka artykułów o działalności i występach chóru. Skupię się więc teraz na tegorocznych uroczystościach. Rozpoczęły się one w kościele garnizonowym. Przy dźwiękach pieśni "Gaude Mater Polonia" wprowadzono pocztę sztandarową. Oprócz naszego był też poczet z Gniezna, Jarocina, Kościana, Czempinia, Lubonia, TParnowa Podgórnego, Zaniemyśla i Poznania. Mszę św. odprawiali ks. major Krzysztof Górski i ks. Tadeusz Nagiel. Ksiądz Górski witając zebranych powiedział: "Kto śpiewa - ten dwa razy się modli, dlatego serca nasze przepełnione radością gromadzą się przy ołtarzu w wielkie święto jubileuszu, by podziękować Bogu za wszelkie dobro jakie chór "Moniuszko" daje dla miasta, okolicy i całej Wielkopolski". Później, we wzruszającej homilii sięgnął do historii powstania Koła Śpiewackiego mówiąc: "Był czas, kiedy zamykano usta, zaciskano gardła, ale śpiewakom koła nie zdołano zamknąć i zniweczyć tych bijących serc. Koło Śpiewackie toczyło umysły i serca córek i synów wielkopolskiej ziemi, śremskiej ziemi i przypominało skąd nasz ród. I tak jest do dziś i tak niech pozostanie na zawsze". Całą mszę św. chór uświetniał swym śpiewem. Ostatnią pieśnią była bardzo piękna pieśń "Dzięk Ci". Ksiądz Górski nawiązując do pieśni powiedział: "Panie, dzięki Ci że dajesz ludzi utalentowanych, dzięki Ci za ten wspaniały chór "Moniuszko", który przez 125 lat pozwala śremsianom zbliżyć się do Boga przez swe artystyczne występy". Ksiądz Nagiel życzył, aby Matka Boża miała chórystów zawsze w swej opiece i jako dar z serca zaśpiewał swym wciąż pięknym głosem "Ave Maria" Szuberta. Po mszy św. Jubilaci dali kilkunastominutowy koncert, po którym słuchający zaśpiewali na stojąco już nie 100 lat, ale 150 albo więcej niech żyją, żyją nam. Owacje trwały długo a dostojni Jubilaci byli bar-

dzo wzruszeni. Druga część uroczystości odbyła się w Klubie Garnizonowym. Prezes - Mieczysław Cichowski powitał zaproszonych gości z Urzędu Marszałkowskiego, z PZChiO Oddział Wlkp., Antoniego Odzimka - starszego cechu, Krzysztofa Łożyńskiego - burmistrza Śremu, Adama Lewandowskiego - naczelnika pionu edukacyjnego, Marię Podzerek ze Starostwa Powiatowego, Mariana Dominiczaka z TMS oraz delegacje zaprzyjaźnionych chórow. Po powitaniach chór zaśpiewał swą piosenkę jubileuszową, w której autorka słów Urszula Ciesielska przedstawiła życie chóru toczone się na przestrzeni lat. A później nastąpił najbardziej podniosły moment - wręczenie odznaczeń. Honorową Statuetkę Chóru otrzymał Adam Lewandowski, Złotą Odznakę ze Srebrnym Wieńcem - Antoni Odzimek, srebrną odznakę otrzymał Henryk Kaleta. Były to odznaczenia dla osób, które udzielają chórowi różnorakiej pomocy. Następnie odbyła się dekoracja chórzystów. Złote, srebrne i brązowe odznaki wręczali burmistrz Śremu i prezes PZChiO. Po dekoracji głos zabrali zaproszeni goście. Burmistrz Śremu powiedział: "Sytuacja jest wyjątkowa, bo taki jubileusz nieczęsto się zdarza. Jak to dobrze, że w Śremie był ks. Wawrzyniak, i że po 125 latach możemy świętować Jego dzieło. Wielopokoleniowa tradycja chóru świadczyć może o sile tradycji, która jest chlubą mieszkańców Śremu. Serdecznie gratuluje!".

W chórze naszym od wielu lat śpiewa Marianna Grzempowska uhonorowana złotą odznaką. Śpiewała też jej córka, a obecnie dołączyła wnuczka Małgosia, która pomimo zajęć na studiach jakoś zawsze godziła jedno z drugim. Myślę, że w przyszłości dzieci Małgosi też będą podtrzymywać rodzinną tradycję, śpiewając w chórze "Moniuszko". Już na zakończenie części oficjalnej chórzyci zaśpiewali ludową piosenkę "Na wesele", której słowa "... będziemy jedli, będziemy pili, będziemy się weselili..." były zaproszeniem do stołu. A później już bawiono się wesoło do późnych godzin.

Urszula CIESIELSKA



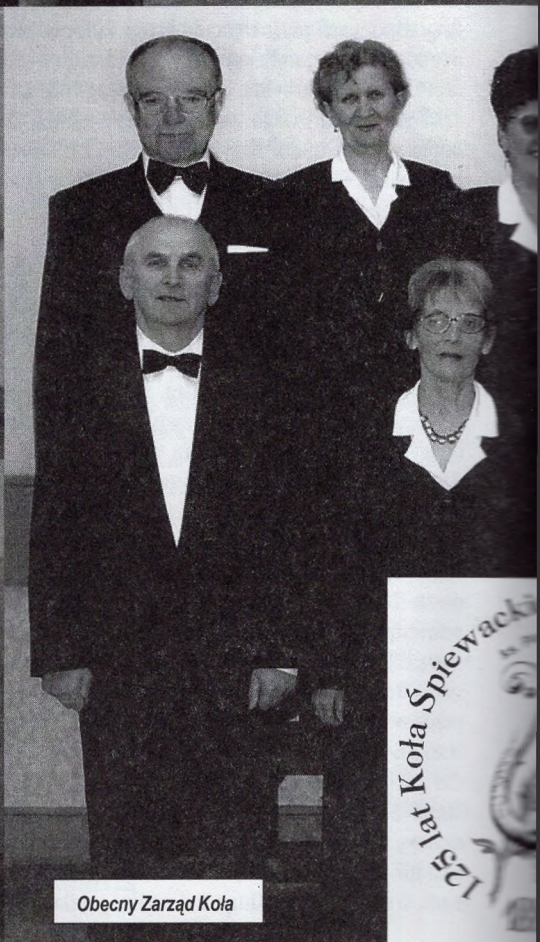
Burmistrz Śremu składa gratulacje



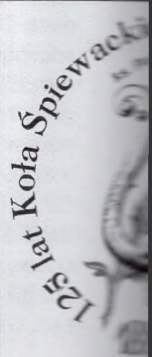
Dyrygent chóru J. Andrzejczak



Sekretarz Koła U. Ciesielska



Obecny Zarząd Koła



Więści z ratusza

miejski biuletyn informacyjny



Urząd Miejski w Śremie, Pl. 20 października 1, 63-100 Śrem, tel. 28 35 225, nr 4

Jubileusz ŚDS-u

30 sierpnia br. Środowiskowy Dom Samopomocy w Śremie obchodził 15-lecie swojego funkcjonowania. Z tej okazji zaplanowano uroczyste obchody i wielkie świętowanie.

Przypomnijmy, że Środowiskowy Dom Samopomocy w Śremie powstał w wyniku przekształcenia Dziennego Ośrodka Adaptacyjnego dla Dzieci i Młodzieży w Śremie w 2003 roku. Sam Ośrodek rozpoczął swoją działalność we wrześniu 1990 roku, a jego inicjatorami byli rodzice dzieci niepełnosprawnych intelektualnie, zrzeszeni w Kole Pomocy Dzieciom Specjalnej Troski. Utworzone w 1981 roku Koło ubiegało się o Ośrodek przez wiele lat. Wreszcie po licznych staraniach, Zarządzeniem Wojewody Poznańskiego utworzono z dniem 1 września 1990 roku Dzienny Ośrodek Adaptacyjny w Śremie. Swoich pierwszych wychowanków przyjął już 10 września tego samego roku. Początkowo działał przy Państwowym Domu Pomocy Społecznej na ul. Farnej, i w oparciu o jego zasoby. Aktem prawnym regulującym jego funkcjonowanie było Rozporządzenie Ministra Zdrowia i Pomocy Społecznej.

W związku z reorganizacją Państwowych Domów Pomocy Społecznej, z początkiem 1991 roku został przejęty przez Radę Miejską w Śremie i zgodnie z ustawą o samorządzie gminnym realizował zadanie własne gminy, jakim było zaspokajanie zbiorowych potrzeb wspólnoty z zakresu pomocy społecznej. W tej formie funkcjonował do kwietnia 2003 roku, kiedy to został przekształcony w Środowiskowy Dom Samopomocy.

Aktualnie siedziba placówki w dalszym ciągu mieści się w lokalach Domu Pomocy Społecznej przy ul. Farnej. ŚDS jest gminną jednostką organizacyjną pomocy społecznej o zasięgu lokalnym. Finansowany jest z budżetu państwa poprzez Wojewodę Wielkopolskiego i dofinansowywany z budżetu gminy.



Realizowane zadania mają na celu prowadzenie terapii i rehabilitacji, poprawiających zaradność życiową, umiejętności społeczne oraz interpersonalne i organizację spędzania wolnego czasu. Dodatkowe zadania obejmują sprawowanie opieki psychologicznej, pedagogicznej i psychiatrycznej, dożywianie uczestników zajęć oraz współpracę z rodzinami uczestników.

Najbliższa przyszłość jaka stoi przed Środowiskowym Domem Samopomocy to konieczność przeniesienia placówki do budynku znajdującego się przy ul. Poznańskiej, tzw. Konwiktu, z uwagi na obowiązek przeprowadzenia wymaganej przepisami standaryzacji w funkcjonowaniu Domu Pomocy Społecznej przy ul. Farnej.

Uroczystego dnia w obchodach 15-lecia ŚDS-u udział brały władze samorządowe Gminy Śrem i Powiatu Śremskiego, przedstawiciele Urzędu Marszałkowskiego i Wojewody Wielkopolskiego, inicjatorzy i założyciele Ośrodka oraz przedstawiciele wielu instytucji wsparcia społecznego. Po oficjalnym spotkaniu w dotychczasowej siedzibie ŚDS-u, nastąpiło uroczyste otwarcie Festynu Jubileuszowego zorganizowanego w zbrudzewskiej "Gajówce", w którym łącznie brało udział 180 osób.

Śrem gospodarzem Mistrzostw Świata

Już od kilku lat koniec wakacji w Śremie przebiega pod znakiem międzynarodowej imprezy na Jeziorze Grzymisławskim. W bieżącym roku ranga imprezy wzrosła niebagatelnie, a do Śremu przybyli zawodnicy walczący o punkty i tytuł mistrza świata. W klasie mistrzowskiej F-500 udział swój zgłosiło 10 za-



wodników. Ponadto rozgrywano wyścigi w klasach S-550, T-550, T-400, JT-250. Łącznie chęć startu w zawodach zgłosiło blisko 50 zawodników, którzy ścigali się w różnych klasach. Dwudniowe zmagania na wodzie zakończono uroczystością na śremskim rynku. W oczekiwaniu na przyjazd barwnego korowodu na scenie koncertował zespół NANA, który wygrał w kategorii debiutów tegoroczny festiwal piosenki w Opolu. Po koncercie wręczono okazałe puchary zwycięzcom wszystkich kategorii. Szefowie ekip, zawodnicy, jak i działacze wysoko ocenili organizację zawodów.

Na zakończenie burmistrz Śremu wręczył pamiątkowe puchary uczestnikom najdłuższej sztafety rzecznej świata na trasie Dobrow - Śrem o długości 150 km.

66 lat... pamiętamy

Tradycyjnie 1 września wspominaliśmy wybuch II wojny światowej. Na śremskim rynku w samo południe, po hejnale z ratusza, na kilka chwil włączono syrenę, oddając cześć poległym żołnierzom. Zgromadzeni przedstawiciele władz samorządowych i stowarzyszeń oraz uczniowie śremskich szkół złożyli wiązanki na płycie poległych na Placu 20 Października.

Mamy rondo

Marzenie o płynnym poruszaniu się pojazdami na skrzyżowaniu ulic Kilińskiego i Grunwaldzkiej przez lata pozostawało w fazie projektu. Rozwiązaniem jedynym i skutecznym była budowa ronda. Województwo Wielkopolskie jako właściciel drogi, przez którą przebiega skrzyżowanie, zadanie to wpisywało w swój plan inwestycyjny. Jednak inne potrzeby inwestycji drogowych na terenie województwa ciągle wypierały i odraczały w czasie realizację ronda w Śremie.

Dlatego już w 2004 roku gmina Śrem, decyzją Rady Miejskiej zabezpieczyła kwotę 200 tys. zł jako zadanie niewygasające w swoim budżecie na rok 2005. Tym samym podjęto rozmowy z władzami powiatu (ul. Grunwaldzka - droga powiatowa) o wspólnym i równym zaangażowaniu dwóch samorządów w realizację tej inwestycji. W sumie gmina Śrem przekaże blisko 740 tys. zł ze swojego budżetu, czyli połowę wartości inwestycji powiatowi, który wystąpił w roli inwestora budowy ronda.

Dnia 23 sierpnia br. odbyło się uroczyste otwarcie i poświęcenie ronda w Śremie. Władzom samorządowym towarzyszyli licznie zebrani wokół ronda mieszkańcy. Zaraz po przecięciu wstęgi płynnie przywrócono ruch w mieście.



Oświatowe nowinki

Nowy rok szkolny w gminie Śrem rozpocznie 4.721 uczniów. Do pierwszych klas szkół podstawowych pójdzie 467 uczniów, czyli o 8% więcej niż w roku ubiegłym. Z kolei pierwsze klasy gimnazjalne rozpocznie 574 uczniów, czyli o 5% mniej niż w roku ubiegłym. Na letnie wakacje uczniowie będą czę-

kali dłużej niż dotychczas, bowiem zakończenie roku szkolnego będzie dopiero 30 czerwca 2006 roku.

W sesji letniej nauczyciele ubiegali się o awans zawodowy na stopień nauczyciela mianowanego. Z naszej gminy pomyślny egzamin sprawdzający przeszli i stopień taki uzyskali: Aurelia Binkowska, Liliana Lachowicz, Anna Kubicka, Sylwia Robak, Ewa Szałek, Helena Klemenska-Rzepka, Alina Kapałka, Wiesława Łabutka, Cecylia Szarzyńska, Bartosz Żeleźny, Dawid Grześkowiak. Podczas uroczystego wręczenia aktów mianowania dnia 29 sierpnia br., Burmistrz Śremu Krzysztof Łożyński oficjalnie powierzył również obowiązki nowym szefom placówek oświatowych w gminie Śrem. Dyrektorem Zespołu Szkoły Podstawowej i Gimnazjum w Zbrudzewie została Ewa Nowak, dotychczasowa polonistka w Szkole Podstawowej Nr 6. Natomiast funkcję dyrektora Przedszkola Nr 3 "Jarzębinka" w Śremie objęła Jolanta Ratajczak, dotychczasowy zastępca dyrektora tegoż przedszkola. Poprzedni kierownicy placówek oświatowych Grażyna Kowska i Edmund Pruchniewicz przeszli na emeryturę.

W okresie wakacji Gmina Śrem przeprowadziła termomodernizację budynku Szko-



ły Podstawowej w Bodzyniewie. Zakres prac obejmował docieplenie budynku, wymianę okien, regulację centralnego ogrzewania i ciepłej wody. Łączny koszt inwestycji wyniósł blisko 230 tys. zł. Inwestycje termomodernizacyjne obiektów szkolnych skutkować będą w przyszłości znacznym spadkiem kosztów ich bieżącego utrzymania. Aktualnie gmina przygotowuje się do przeprowadzenia kolejnej termomodernizacji w najliczniejszej szkole naszej gminy - Gimnazjum Nr 1, w którym aktualnie uczy się 958 uczniów.

**UCHWAŁA NR 310/XLI/05
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 18 sierpnia 2005 r.**



zmieniająca uchwałę w sprawie ustalenia stawek opłat za zajęcie pasa drogowego dróg, których zarządcą jest Burmistrz Śremu, na cele niezwiązane z potrzebami zarządzania drogami lub potrzebami ruchu

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 15 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142 poz. 1591 z późn. zm.) oraz art. 40 ust. 8 ustawy z dnia 21 marca 1985 r. o drogach publicznych (Dz. U. z 2004 r. Nr 204, poz. 2086 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwala, co następuje:

§ 1

W uchwale nr 226/XXXI/04 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 29 października 2004 r. w sprawie ustalenia stawek opłat za zajęcie pasa drogowego dróg, których zarządcą jest Burmistrz Śremu, na cele niezwiązane z potrzebami zarządzania drogami lub potrzebami ruchu (Dz. Urz. Woj. Wielk. z 2004 r. Nr 163, poz. 3500) wprowadza się następujące zmiany w § 3:

- 1) ust. 2 otrzymuje brzmienie:
"2. Stawkę za umieszczenie urządzeń wodociagowych, kanalizacyjnych, energetycznych i gazowych pomniejsza się o 90 %."
- 2) dodaje się ust. 3 w brzmieniu:
"3. Roczne stawki opłat w wysokości określonej w ust. 1 i 2 obejmują pełny rok kalendarzowy umieszczenia urządzenia w pasie drogowym lub na obiekcie mostowym. Za niepełny rok kalendarzowy wysokość rocznych stawek opłat obliczana jest proporcjonalnie do liczby miesięcy umieszczenia urządzenia w pasie drogowym lub na obiekcie mostowym".

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 3

Uchwała wchodzi w życie po upływie 14 dni od ogłoszenia w Dzienniku Urzędowym Województwa Wielkopolskiego.

PRZEWODNICZĄCY RADY

Maciej Janiszewski

**UCHWAŁA NR 311/XLI/05
RADY MIEJSKIEJ W ŚREMIE
z dnia 18 sierpnia 2005 roku**

zmieniająca uchwałę w sprawie uchwalenia budżetu gminy Śrem na 2005 rok

Na podstawie art. 18 ust. 2 pkt 4 ustawy z dnia 8 marca 1990 r. o samorządzie gminnym (Dz. U. z 2001 r. Nr 142, poz. 1591 z późn. zm.) i art. 124 ustawy z dnia 26 listopada 1998 r. o finansach publicznych (Dz. U. z 2003 r. Nr 15 poz. 148 z późn. zm.) Rada Miejska w Śremie uchwała, co następuje:

§ 1

W uchwale Nr 249/XXXIV/04 Rady Miejskiej w Śremie z dnia 30 grudnia 2004 r. w sprawie uchwalenia budżetu gminy Śrem na 2005 r., zmienionej zarządzeniem Nr 357/05 Burmistrza Śremu z dnia 31 stycznia 2005 r., uchwałą Nr 261/XXXV/05 z dnia 25 lutego 2005 r., uchwałą Nr 270/XXXVI/05 z dnia 30 marca 2005 r., uchwałą Nr 277/XXXVII/05 z dnia 28 kwietnia 2005 r., zarządzeniem Nr 428/05 Burmistrza Śremu z dnia 13 maja 2005 r., uchwałą Nr 297/XL/05 z dnia 28 czerwca 2005 r., zarządzeniem Nr 444/05 Burmistrza Śremu z dnia 30 czerwca 2005 r. wprowadza się następujące zmiany:

1) w § 1:

a) pkt 1 zwiększa się dochody o kwotę 9 149 zł, plan po zmianach 55 320 457 zł,

b) pkt 2 zwiększa się wydatki o kwotę 9 149 zł, plan po zmianach 62 046 051 zł,

c) w pkt 2, lit. d rezerwę budżetową ogólną w kwocie 423 500 zł zmniejsza się o kwotę 205 000 zł, plan po zmianach 218 500 zł;

2) w § 4 wydatki majątkowe w kwocie 9 678 960 zł zastępuje się kwotą 9 884 960 zł,

a) w pkt 1 kwotę 7 976 420 zł zastępuje się kwotą 8 176 420 zł;

b) w pkt 4 kwotę 1 108 540 zł zastępuje się kwotą 1 114 540 zł;

3) w § 6, pkt 1 rezerwę ogólną zmniejsza się o kwotę 205 000 zł, plan po zmianach 218 500 zł;

4) zmienia się treść załącznika nr 1 do uchwały budżetowej - Plan dochodów, zgodnie z załącznikiem nr 1 do niniejszej uchwały;

5) zmienia się treść załącznika nr 2 do uchwały budżetowej - Plan wydatków, zgodnie z załącznikiem nr 2 do niniejszej uchwały;

6) zmienia się treść załącznika nr 5 do uchwały budżetowej - Wykaz wydatków majątkowych zaplanowanych do realizacji w 2005 roku, zgodnie z załącznikiem nr 3 do niniejszej uchwały;

7) załącznik nr 9 do uchwały budżetowej - Prognoza kwoty długu do budżetu gminy Śrem na 2005 rok otrzymuje brzmienie określone w załączniku nr 4 do niniejszej uchwały;

14) załącznik nr 10 do uchwały budżetowej - Wieloletni Program Inwestycyjny otrzymuje brzmienie zgodne z załącznikiem nr 5 do niniejszej uchwały.

§ 2

Wykonanie uchwały powierza się Burmistrzowi Śremu.

§ 3

Uchwała podlega opublikowaniu.

§ 4

Uchwała wchodzi w życie z dniem podjęcia.

PRZEWODNICZĄCY RADY

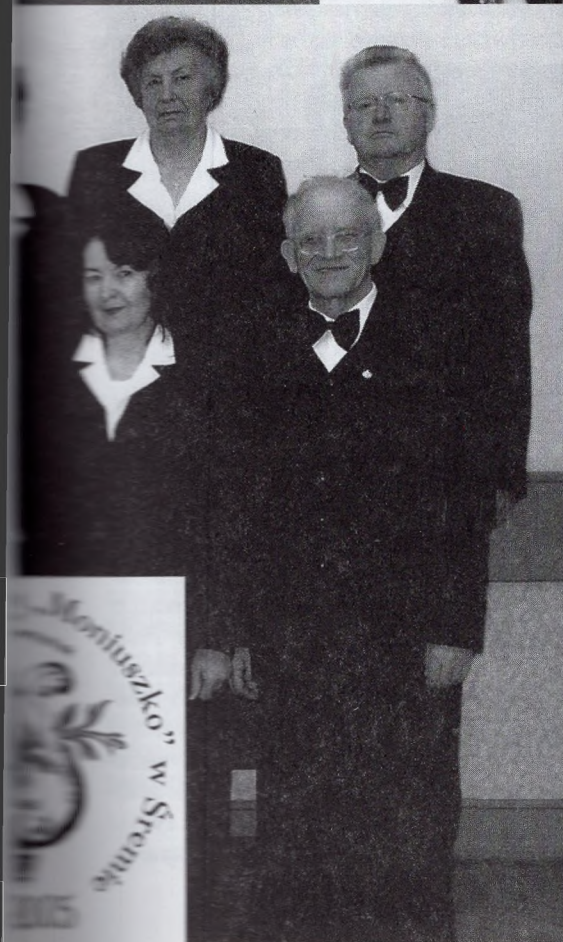
Maciej Janiszewski



Koncert w kościele garnizonowym



Burmistrz dekoruje prezesa chóru



A. Lewandowski odbiera statuetkę chóru



Delegacja Chóru „Harfa” z Czempinia

Warto przypomnieć...

Musisz się z mroku wynurzyć na światło...

Klemens Janicjusz (Ianicus, Janicki, Ianuscovius, Januszkowski, z Januszkowa) zajmuje poczesne miejsce wśród poetów polsko-łacińskich. Urodzony w 1516 roku we wsi Januszkowo w pobliżu Żnina, uczył się w szkole elementarnej w Żninie, następnie w Kolegium Lubrańskiego w Poznaniu, skąd wyniósł znajomość greki i łaciny oraz literatury antycznej. W 1536 roku został sekretarzem arcybiskupa Andrzeja Krzyckiego. W jego otoczeniu poznał między innymi Jana Dantyska oraz Stanisława Hozjusza, duchownego, w przyszłości biskupa

i kardynała, głośnego w Europie apologetę katolicyzmu, pisarza i dyplomata. Po śmierci Krzyckiego zaopiekował się poetą Piotr Kmita, kasztelan krakowski

i marszałek wielki koronny. W 1538 roku wyjechał Janicjusz do Padwy i na tamtejszym uniwersytecie rozpoczął studia. Z dyplomem doktora filozofii i z laurem poetyckim, przyznany mu przez papieża Pawła III, powrócił w 1540 roku do kraju. Odtąd utrzymywał się poeta z dochodów z probostwa w Gołaczowie pod Olkuszem. Korzystał też z pomocy przyjaciół - Jana Anto-

nina (lekarza, Węgra z pochodzenia), Seweryna Bone-ra (bankiera Zygmunta I Starego) i Piotra Wedelicjusza (lekarza). Zmarł w Krakowie pod koniec 1542 lub w początkach 1543 roku.

Za życia poety - w 1542 roku - ukazał się tom obejmujący *Tristium liber I* (Zale ks. I), *Variarum elegiarum liber I* (Elegie różne ks. I) i *Epigrammatum liber I* (Epigramaty ks. I). Wcześniej - może w 1538 roku - pojawiła się w druku Querela Reipublicae Regni Poloniae (Skarga Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego). Inne utwory opublikowane zostały już po jego zgonie: *Epithalamium Serenissimo Regi Poloniae, Sigismundo*



Augusto (Pieśń weselna dla Króla Polskiego Zygmunta Augusta), *Vitae regum Polonorum* (Żywoty królów polskich) wraz z *In Polonici vestitus varietatem et inconstantiam dialogus* (Dialog przeciw różnorodności i zmienności strojów polskich, Antwerpia 1563) i *Vitae archiepiscoporum Gnesnensium* (Żywoty arcybiskupów polskich, Kraków 1574).

Janicjusz był przede wszystkim lirykiem, o czym świadczy zawartość tomu z 1542 roku. Inspirowany przez Owidiusza, tworzył elegie (w liczbie 21) rozwijające motywy osobiste - niekiedy z uwzględnieniem szczegółów topograficznych i danych personalnych. Jest wśród nich elegia autobiograficzna *O sobie samym do potomności*, uważana niekiedy za parafrazę elegii rzymskiego mistrza (*Tristia IV, 10*). Zresztą i tytułem zbioru *Tristium liber* nawiązywał poeta polski do tytułu elegii wygnańczych Owidiusza *Tristia*. Pisał także elegie okolicznościowe, panegiryczne (ich bohaterami byli między innymi Krzycki i Kmita).

Drugim obok elegii gatunkiem literackim, uprawianym przez Janicjusza, był epigram. Poeta wypowiadał się w różnych odmianach tego gatunku: w epitafiach, stemmatach (wierszach na herby) i w wierszach wizerunkowych zbliżonych do kompozycji emblematycznej. Korzystając ze wzorów Marcialisa, Propercjusza i Katullusa, podejmował w nich rozmaite motywy: miłosne, pochwalne, żartobliwe, satyryczne.

Ostatnim utworem Janicjusza była pieśń weselna - *Epithalamium Serenissimo Regi Poloniae, Sigismundo Augusto* - napisana w związku z planowanym małżeństwem Zygmunta Augusta z Elżbietą, córką Ferdynanda I, wówczas króla Czech i Węgier. Inny charakter miały *Querela Reipublicae Regni Poloniae i In Polonici vestitus varietatem et inconstantiam dialogus*. W pierwszym z wymienionych tu utworów, nawiązując do wydarzeń tzw. wojny kokoszej (1537), ustami uosobionej Rzeczypospolitej skarżył się poeta na szlachtę, głównie zaś na magnatów, na ich skłócenie i prywatę.

Janicjusz - humanista, znawca dziedzictwa antycznego - opanował w stopniu najwyższym technikę poetycką wzorowaną przede wszystkim na mistrzach rzymskich. Równocześnie jednak zdobył się na oryginalne ujęcia, co uwidoczniło się w szczególności we fragmentach poświęconych przyrodzie ojczystej, przeszłości i teraźniejszości Rzeczypospolitej. Nowym pierwiastkiem na gruncie polskim był osobisty ton jego poezji. Był Janicjusz pierwszym w Polsce twórcą, który tak wiele pisał o sobie i o osobach z najbliższego otoczenia, o godności i dumie poety, który stronił od przesadnego panegiryzmu.

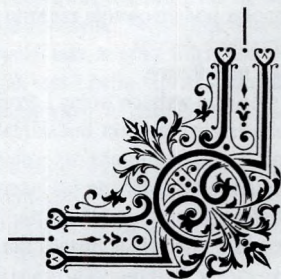
Opracował
Adam LEWANDOWSKI

ELEGIA VII O SOBIE SAMYM DO POTOMNOŚCI

*Ty, co pomyślisz o mnie i zapragniesz
Kiedyś, w przyszłości, poznać moje życie,
Przeczytaj wiersze dyktowane spieszenie,
Gdy mnie puchlina spychała w toń Lete.
Wysoko leży wieś nad żnińskim bagnem,
Od niejakiego Januszka nazwana;
Tamtędy ponoć jeździli od Gniezna
Nasi królowie do swych pruskich włości.
Tę glebę pługiem przewracał mój ojciec,
Człowiek szlachetny w swej ubogiej doli.
Gdy opłakiwał dzieci utracone
W srogiej zarazie, mnie urodzonego
Pośród żaloby ujrzał; był bezdzietny
Tylko przez dziesięć miesięcy. A światło
Zabłysło dla mnie w dniu czwartym po Idach
Listopadowych, w niedzielę, w południe,
W dniu, gdy i król nasz zdejmował żalobę
Przez rok noszoną po zgonie małżonki,
Barbary, z rodu trenczyńskiego wilka
(Jej śmierć głęboko zasmuciła wszystkich).....*

Źródła:

Janicki K., *Carmina. Dzieła wszystkie, wstęp i oprac. J. Krókowski, komentarze i similia J. Mosdorf, tłum. E. Jędrkiewicz, Wrocław 1966.*
Janicki K., *Poezje wybrane, tłum. i oprac. Z. Kubiak, Warszawa 1975.*
Kotarski E., *Klemens Janicki, w: Pisarze staropolscy. Sylwetki, pod red. S. Grzeszczuka, t. 1, Warszawa 1991*



Postscriptum do 20 Października 1939 roku

Przeznaczony na życie



Kiedy sięgam pamięcią wstecz i zastanawiam się, co w Śremie najbardziej kojarzyło mi się z II wojną światową, dochodzę do wniosku, że były to dwa znaki - most z jednym ocalałym żelaznym przesłem i tablica upamiętniająca rozstrzelanych 20 października 1939 roku.

Most zniknął, zastąpił go inny, ale pamięć o tym październikowym

dnia trwa i jest szczególnie szanowana. Co ciekawe, obchodzono ją i wówczas, kiedy to wypadało honorować przede wszystkim radzieckich wyzwolicieci. Pamiętam, że mój ojciec - Tadeusz Nowicki, rocznik 1904 - kiedy na rynku składano rocznicowe kwiaty mawiał, że i on tam mógł być, wśród tych rozstrzelanych. Chwytałam wówczas jego szeroką, ciepłą dłoń i byłam szczęśliwa, że jest tutaj żywy i najukochańszy.

Dopiero dziś, po wielu latach zadaję sobie pytanie, jakie było pokolenie mojego ojca? Odpowiedź jest prosta - było to pierwsze od ponad 130 lat pokolenie Polaków, które swoje aktywne życie mogło wieść w warunkach wolności i odzyskanego państwa. Nic więc dziwnego, że nicią, która najmocniej zszywała trzy odrębnie rozwijające się części Polski, był patriotyzm. Dzisiaj słowa tego używamy odświętnie i jakby bez czucia. Ale wówczas był on naturalny i powszechnie obecny w codziennym życiu, powodowano się nim przy podejmowaniu zarówno ważnych jak i całkiem zwyczajnych decyzji.

Wyprawa nad Bzurę

W tej atmosferze wybuch wojny i groźba utraty niepodległości, musiały być szokiem. Budzić reakcje typu - nie, my do tego nie dopuścimy, trzeba coś zrobić! W wypadku mojego ojca miała miejsce decyzja, jak byśmy to dzisiaj powiedzieli, i śmieszna i szalona. Po rodzinnym eksodusie, który zakończył się zaledwie w Bożych Darach, nie mógł siedzieć i tylko czekać. Postanowił ni mniej ni więcej tylko wyruszyć z grupą chętnych na odsiecz Warszawy. Obecnie

nie mogę już dojść do tego, czy był to krąg jakichś znajomych, czy też nie. W każdym razie z jego opowiadania wynikało, że po drodze zebrano się wielu takich jak on. Ojciec płacił za wszystkich noclegi i wyżywienie nowiutkimi banknotami, których nie zdążył spożytkować na inwestycje. Powiększającą się stale grupą ochotników i żołnierzy, którzy pogubili swoje oddziały, dotarła aż nad Bzurę. Dziś doskonale wiemy, co tam miało nastąpić - największa bitwa kampanii wrześniowej. Wtedy dopiero się do niej szykowano, do Armii Poznań przedzierały się w zacieklach walkach z Pomorza oddziały generała Bortnowskiego. Komu była jeszcze potrzebna ta zbieranina? Żołnierzy zostawiono, cywili odesłano. Łatwo powiedzieć - "panowie, do domu!" O powrocie w grupie nie mogło być mowy, każdy musiał posuwać się na własną rękę przez kraj ogarnięty wojną i pod Niemcem.

Powrót i ucieczka

Właściwie już od tego momentu można powiedzieć, że mój ojciec został przeznaczony na życie - udało mu się bowiem cało wrócić do Śremu. A tu nowe porządki i groźba czegoś, co zaledwie można było przeczuć, a czego nawet przy całej znajomości Niemców nie można sobie było wówczas wyobrazić. Kiedy więc w październiku otrzymał od Treuhandera "Bazaru" polecenie wyjazdu na kilka dni, aby załatwić jakieś sprawy handlowe, nie spieszył się. Ten zobaczywszy go nazajutrz wpadł w gniew i kazał mu wyjeżdżać natychmiast! To już było zastanawiające. W gronie rodzinnym roztrząsano, co mogłoby oznaczać. "Może po mnie przyjdą, ale wtedy schowam się w piwnicy w kartonach po futrach" - mówił ojciec. Kobiety były mniej naiwne, bały się i w końcu uprosiły go, aby wyjechał. Posłuchał więc ich i kilka dni przebywał w Poznaniu u swoich rodziców.

Tymczasem w domu pojawiła się niemiecka żandarmeria z nakazem zabrania ojca. W asyście mojej przerażonej babki przeszukała dom od strychu po piwnice, klując bezlitośnie bagnietami właśnie owe kartony, które miały być taką dobrą kryjówką. Ale minęło kilka dni i ojciec nieświadomy niczego postanowił wrócić. Na szczęście wrócił pociągiem, a to oznaczało przesiadkę w Czempiniu. I tam dowiedział się, co się stało w Śremie - o rozstrzelaniu zakładników na rynku. A więc to wśród nich mógł się znaleźć. Zawrócił do Poznania a potem ze wszystkimi środkami, jakie udało mu się zgromadzić, pojechał do Łodzi.

Łódź i Warszawa

Pomyśleć tylko w Śremie poszukiwany, w Łodzi wraz z bratem Władysławem mieszkał w Grand Hotelu. Nie długo, tyle tylko ile trzeba było na organizację pobytu w Warszawie, w czym dopomogli pochodzący stamtąd teściowie Władysława. Powołutku ściągnęły do Warszawy żony, dzieci, dziadkowie. Zaczynał się kilkuletni okres walki o byt, o przeżycie każdego następnego dnia. Rodziny się powiększały. Trzymali się wszyscy razem, wspomagając się, nie konspirując, ale jak wszyscy warszawiacy kombinując. Śmiertelne niebezpieczeństwo przeplatało się z chwilami wytchnienia. Zawsze mogło się skończyć źle lub dobrze. Jak wówczas, gdy panie siedziały na ławeczce w Ogrodzie Botanicznym, dzieci bawiły się obok i kiedy nagle zaczęły świstać kule. Pozostawało paść na ziemię i liczyć, że ominą ich te przypadkowe i te, które mogły do nich wystrzelić Niemcy, którzy wpadli do ogrodu w poszukiwaniu zamachowców. Stąd niedaleko było do alei Szucha i właśnie w tej okolicy miał miejsce zamach na wysokiego urzędnika gestapo, któremu poświęcono znany film fabularny.

Naprzeciwko sklepiu braci Nowickich, na rogu Wilczej i Marszałkowskiej, grał na skrzypcach odwrócony do szyby student. Znany tę mroczną postać z "Zakazanych piosenek". O tym, że był to agent gestapo, moja ciocia Zofia Nowicka dowiedziała się dopiero po wojnie, właśnie z tego filmu. Pamięta jednak doskonale, że któregoś dnia nastąpiły aresztowania w sklepie obok. Twierdzi, że agent się pomylił, niedokładnie się przyjrzał - konspiracyjne spotkania odbywały się na zapleczku sklepu, w którym handlował Nowiccy.

Powstanie

Wielka historia zaplątywała się w losy zwykłych ludzi. Nad moją rodziną przetoczył się też walec Powstania Warszawskiego. Mieszkaliśmy wówczas przy ulicy Barbary, nie daleko poczty nowogrodzkiej. Było to Śródmieście, do którego klęska i zagłada dotarła najpóźniej. Ale i tu stłoczonym w piwnicy takim jak oni cywilom pozostawał już tylko Bóg i modlitwa. Brakowało wody, jedzenia, umierały dzieci, leżały nie pogrzebane trupy tych, którzy weszli w pole widzenia snajpera. W tych warunkach mój rówieśnik, kuzyn Zbyszek urodzony z wadą serca, nie miał szans na przeżycie. Pochowano go na podwórzu w szufladzie od lodówki. Mnie jakoś uratowano zatrzymując wyniszczającą biegunkę. Powstanie upadło. Ludziom z naszej kamienicy pozwolono wyjść po pertraktacjach z Niemcami, w których uczestniczył - w imieniu wspólnoty mieszkańców - mój ojciec ze mną na rękę. W drodze na rozmowę do Niemców wymierzona w niego seria z automatu poszła w sufit. Dowódca niemieckiego patrolu podbił pistolet maszynowy strzelającemu "kałmukowi", jak określał napastnika ojciec. Kolejny znak przeznaczenia na życie?



Exodus

Kiedy widzę archiwalne kroniki ukazujące kolumny ludzi opuszczających zrujnowaną Warszawę, wpatruję się w nie usiłując dostrzec wyraz twarzy tych ludzi. Czekam na jakiś kadr zbliżenia. Wiem, że ich następnym przystankiem będzie Pruszków, a potem będzie już różnie. Niektórzy pójdą do pruszkowskiego duelagu, innym uda się dostać do miasta. Nam się udało, a stamtąd do Łowicza. Z tej podróży moja starsza siostra Maria zapamiętała pomidory. Łowiczanie warszawskim wygnańcom przynieśli na stację pomidory. Może i jeszcze inne rzeczy, ale te pomidory to musiało być naprawdę coś, skoro tak się zakodowało w pamięci małej dziewczynki. Największe zdziwienie wśród dorosłych wywołał fakt, że poza Warszawą toczy się "normalne życie". Jak mówi Zofia Nowicka, siedząc odcięci od świata wyobrażali sobie, że powstanie wybuchło w całej Polsce.

Częstochowa była następnym przystankiem naszej rodziny w popowstaniowej odysei. Kto miał pieniądze i coś do zbycia, mógł liczyć na dach nad głową, a co mieli uciekinierzy z Warszawy? Przeważnie nagie życie. Stąd widok ludzi koczujących na chodnikach nie był rzadki. Moja

AMTLICHE VERMERKE UWAGI URZĘDOWE

Der Kennkarteninhaber wohnt
Posiadacz karty rozpoznawczej mieszka

in w Warschau Strasse Marszałkowska
Kreis 18
Starostwo powiat.

Dienstseigel
Pieczęć służbowa

Unterschrift der Meldebehörde
Podpis urzędu meldunkowego

ob od
in w Warschau Strasse Barbary
Kreis 18
Starostwo powiat.

Dienstseigel
Pieczęć służbowa

Unterschrift der Meldebehörde
Podpis urzędu meldunkowego

ob od
in w Warschau Strasse Barbary
Kreis 18
Starostwo powiat.

Dienstseigel
Pieczęć służbowa

Unterschrift der Meldebehörde
Podpis urzędu meldunkowego

ob od
in w Warschau Strasse Barbary
Kreis 18
Starostwo powiat.

Dienstseigel
Pieczęć służbowa

Unterschrift der Meldebehörde
Podpis urzędu meldunkowego

3

ciocia Teresa Weiss, która też dzieliła nasz los, do końca życia zachowała pamięć o tym i jakiś taki żal do mieszkańców Częstochowy, że pomoc była tylko za pieniądze. No, właśnie, te trzeba było zdobyć, żeby utrzymać rodzinę. I tu wielkich możliwości nie było, a w dodatku w mieście było bardzo silne gestapo. Nie było na co się oglądać i wędrować dalej. Zdołano tylko dać znać bratu Stanisławowi Nowickiemu do Rybnika o tym, że wszyscy się uratowali. Od niego przysłała pierwsza pomoc - lekarstwa, jakieś ubrania, postanowiono też wybrać się do Krakowa, gdzie na wygnaniu była siostra mojego ojca Helena Galas. Tam spotkaliśmy też serdecznych znajomych ze Śremu, państwa Wandę i Bolesława Jankowiaków.

Kraków i obóz

Był październik, listopad i grudzień, z nadzieją nasłuchiowano wieści o zbliżaniu się frontu. Jednak rzeczywistość nie dawała o sobie zapomnieć. Pewnej niedzieli panowie zwlekali z pójściem do kościoła, koniecznie chcieli przedtem zjeść śniadanie. Wówczas pojawili się Niemcy. Początkowo chcieli zabrać ze sobą wszystkich "warszawiaków", ale dzieci jakby przezuwając, że dzieje się coś złego, urządzili taki ryk, że pozostawiono matki. Zabrano mojego

ojca, jego brata Władysława, ciocię Teresę Weiss i służącą wujostwa Bronię. I tak znaleźli się oni w ową "czarną niedzielę" w podkrakowskim obozie na Prądniku. Żony przychodziły codzienne pod druty obozowe przynosząc żywność czy coś do ubrania. Ale wkrótce w obozie zaczęły się wywózki. Ładowano więźniów na ciężarówki i wywożono w nieznanym kierunku. Moi postanowili jak najdłużej tego unikać, kryli się w barakach, nie wychodzili na apele. Pewnego styczniowego dnia panie wróciły z płaczem do domu, bo nie spotkały ich. Więc jaka była radość, kiedy ci sami wrócili do domu. Niemcy uciekli. Wyzwolenie miasta przeczekali nie wychylając się z mieszkania. Za to w domu pojawił się rosyjski patrol sprawdzano czy nie ukrywają się tu Niemcy.

Powrót do domu

Front poszedł dalej, a moi oczekiwali wieści z zachodu, czy Śrem jest już wolny. Gdy tak się stało i kiedy tylko można było jakoś podróżować, załadowali dobytek i ruszyli. Podróż z Krakowa do Śremu trwała dwa tygodnie - nocowanie na dworcach, łapanie kolejnej okazji, by pojechać dalej. Pierwszy nocleg w pościeli był dopiero w Ostrowie Wielkopolskim, sen jednak nie był komfortowy, jak się spodziewano, bo po zgazeniu światła zaroziło się od pluskiew. W tym mieście nasze okupacyjne kółko rodzinne rozdzieliło się. Brat mojego ojca Władysław wraz żoną, dziećmi i służącą Bronią skierowali się do Inowrocławia, my do Śremu. Dom nietknięty, mieszkanie zaplombowane, klucze w magistracie, wyposażenie znikło, na podłogach pełno pierza. Z tego pierza potem robiliśmy poduszki i długo jeszcze znajdowaliśmy w nich metalowe hakenkrojce na szpilce, takie do wpinania w klapy. Zwiedzili się o naszym powrocie znajomi i każdy coś przyniósł. Zaczynano wszystko od nowa, z wielką nadzieją i radością z zakończenia okupacyjnego koszmaru.

Koło się zamknęło. Mój ojciec zawrócony owego październikowego dnia z dworca w Czempiniu nie tylko uratował swoje życie, ale przywiózł do Śremu rodzinę całą i zdrową, w dodatku powiększoną o urodzone w Warszawie córki - Marię i Barbarę. Chyba był więc przeznaczony na życie i spłacił mu dług z nawiązką.

Barbara NOWICKA

Foto archiwum

1. Tadeusz Nowicki
2. Tadeusz Nowicki z żoną Katarzyną w 1939 roku
3. Karta zameldowania z Warszawy

Ksiądz z odległych krańców Wielkopolski

Powiedzmy, że mam kilka dni wolnych i uwielbiam realizować szalone pomysły. Mam kajak, prowiant, umiem pływać i postarałem się wcześniej o przychylność niebios. Wsiadam do kajaka pod mostem w Śremie i płynę w górę Warty. Na wysokości Pyzdr wpływam w koryto Prośny (w latach 1815-1914 Proсна stanowiła granicę między Rosją a Niemcami). Po przepłynięciu Prośną około 100 kilometrów wsiadam na brzeg w Mirkowie - rodzinnej miejscowości księdza Antoniego Rzadkiego. Może równie szalone pomysły i marzenia miał ks. Antoni wpatrując się w nurt Warty z mostu w Śremie, tęskniąc za bliskimi pozostawionymi na krańcach Wielkopolski nad Prośną. Tam się urodził 4 stycznia 1898 r. (w tym czasie Mirków wchodził w skład powiatu kępińskiego) i spędził swoje pierwsze lata dzieciństwa i młodości uczęszczając do miejscowej szkoły ludowej.

Nie przypuszczał na pewno, że życie jego stanie się pełne meandrów, jakich było i jest jeszcze pełno nad Prośną. Rodziny Rzadkich i Mosków (matka Julianna z domu Moska) należały do tych, z którymi w Mirkowie się liczono i poważano. Ojciec Antoniego - Józef był sołtysem we wsi, a starsza siostra ks. Antoniego - Inocenta była przełożoną domu zakonnego sióstr Serafitek, które w Mirkowie prowadziły w okresie międzywojennym dom zakonny oraz szkołę gospodarstwa domowego dla miejscowych dziewcząt.

Jako poddany cesarza niemieckiego w 1906 r. został jak inni Wielkopolanie wcielony do armii niemieckiej i wysłany na front francusko-niemiecki. Tam dostał się do niewoli amerykańskiej. Po zakończeniu I wojny światowej, gdy Antoni w szeregach "błękitnej" armii gen. J. Hallera wiosną 1919 r. wrócił do kraju, w Wielkopolsce trwało jeszcze powstanie

wielkopolskie. Rodzinne strony Antoniego: Wyszanów, Lubczyna, Mirków były najdalej na południu Wielkopolski wysuniętymi rubieżami południowego odcinka powstańczego frontu, gdzie powstańcy ścierali się z oddziałami niemieckiego Grenzschutzu. Niedaleko od Mirkowa w kierunku południowym, po zakończeniu działań zbrojnych przebiegała linia demarkacyjna.

Po ustaleniu granicy polsko-niemieckiej 1 stycznia 1922 r. została powołana do życia nowa parafia rzymsko - katolicka p.w. Najświętszej Marii Panny w Podzamczu (obecnie powiat Wieruszów), w skład której wszedł także Mirków.

Pierwszym proboszczem w Podzamczu został pochodzący z Poznania ks. Marian Myszkowiak (ur. 1888 r.). Przy jego udziale nastąpił dynamiczny rozwój życia religijnego i kulturalnego parafii. Powstały żeńskie i męskie stowarzyszenia. Rozwinęło się Towarzystwo Gimnastyczne "Sokół". W latach 1934-1936 stał na czele komitetu budowy nowego przestronnego kościoła parafialnego. Wyświęcony na księdza 20 lutego 1932 r. Antoni Rzadki został pierwszym diakonem nowo powstałej podzameckiej parafii. Ksiądz Rzadki utrzymywał częste kontakty z rodzinnymi stronami. Z racji specyfiki swojej pracy pedagogicznej - był przecież prefektem najpierw w Rogoźnie (1932-1935), później w Śremie (1935-1939) - wakacje spędzał w rodzinnych stronach w Mirkowie.

Godnym uwagi jest fakt, że pierwszego proboszcza, jak i pierwszego diakona z parafii Podzamcze spotkał ten sam los zgotowany im przez hitlerowców. Obaj oddali swoje życie za te wartości, które były im bliskie od dzieciństwa.



Pierwszy zginął ks. Antoni Rządki rozstrzelany jako zakładnik na Rynku w Śremie 20 października 1939 r. razem z 18 innymi Polakami. Ksiądz M. Myszkowiak jako czołowy społecznik i organizator życia religijnego i kulturalnego Podzamcza został już 3 września 1939 r. przez Niemców aresztowany i osadzony w więzieniu w Norymberdze. Na krótko zwolniony powrócił jednak do Podzamcza, by po kolejnym aresztowaniu, przez więzienie w Poznaniu trafić do Dachau, gdzie zmarł 12 lipca 1942 r.

Ksiądz M. Myszkowiak - poznaniak, absolwent słynnego gimnazjum Marii Magdaleny przekazał nowej parafii wzorce pracy społecznikowskiej i samoorganizacji lokalnej społeczności, idee jakże groźne dla istnienia Rzeszy Niemieckiej, za które oddał życie. Podobnie ks. Rządki stając w szeregu skazańców na śremskim rynku zdał egzamin przed Bogiem,

uczniami i samym sobą z wartości, którymi kierował się w życiu codziennym zawartych w zaledwie dwóch słowach: "Bóg i Ojczyzna".

Paweł GRZESIAK

Foto archiwum:

1) Ks. Antoni Rządki (1898-1939) pierwszy diakon parafii Podzamcze; zdjęcie z początkowego okresu kapłaństwa.

2) Ks. Marian Myszkowiak (1888-1942) pierwszy proboszcz parafii Podzamcze

Autor niniejszego artykułu w związku z pracą nad biografią ks. A. Rządkiego prosi o kontakt (przez Muzeum w Śremie) wszystkie osoby, które dysponują informacjami dotąd niepublikowanymi na temat jego życia duchownego oraz okoliczności śmierci.

Wspomnienia z Rožnova uwiecznione w rysunku

W dniach 3.07. do 9.07. br. w ramach wymiany kulturalnej pomiędzy Valaskim Muzeum w Rožnovie a Muzeum Śremskim wyjechałyśmy z Urszulą Łukomską do Rožnova pod Radhoštěm w Czechach. Czechy przywitały nas przepięknymi widokami gór skąpanymi w słońcu. Na miejscu oczekiwali na nas Maria Chlebowska i Martin Gaja. Zostaliśmy zakwaterowani w budynku poczty, a właściwie w jej części konferencyjno-noclegowej.

I tak zaczął się nasz pobyt pełen nowych wrażeń. Pierwszego dnia zwiedziliśmy miasto oraz Valaskie Muzeum. Przepiękne drewniane domy oraz kościółek starałyśmy się utrwalić w naszych szkicownikach. W tych dniach muzeum ożyło. Ponieważ trafiliśmy na dni świąteczne w Czechach, w muzeum odbywały się różne pokazy. Chaty i tak przepięknie wyposażone na co dzień, teraz zapełniły się ludźmi w ludowych strojach, którzy pokazali różne rzemiosła z dawnych czasów. Dzięki nim przekonał się jak dawniej za pomocą bardzo prostych narzędzi ludzie wykonywali małe dzieła sztuki, które służyły ich codziennemu życiu. Oprócz tego można się było przyjrzeć scenom z ich życia codziennego, a także tak wyjątkowym wydarzeniom jak narodziny, ślub, śmierć bliskiego człowieka. Wraz z Ulą starałyśmy się za pomocą szkiców oraz aparatu fotograficznego utrwalić to niezwykle miejsce. Trzeba przyznać, że

podczas szkicowania byliśmy sporą atrakcją turystyczną.

Zostałyśmy również zaproszone do rožnowskiej Umeleckiej Szkoły, w której podczas zeszłorocznego pobytu pracowała nasza śremska młodzież. Szkoła wyposażona jest we wszystko to, co potrzebuje młody człowiek, by móc realizować swoje artystyczne pasje. A łza się w oku nam kręciła, gdyż w Śremie nie ma takiego miejsca, które odpowiadałoby standardom czeskiej szkoły.

Podczas całego naszego pobytu Maria zadbała o to, aby nam umożliwić poznanie twórczości i rzemiosła miejscowych artystów. Mnie osobiście najbardziej zachwyciły rzeźby Igora Kitzbergera, pełne ekspresji postacie arlekinów lub przedstawiające taniec o przepięknych, pełnych wyrazu dłoniach. Artysta wystawiał swoje prace w kraju i za granicą. Igor przyjął nas w swojej pracowni, pokazał rzeźby i zaprosił na pogawędkę, która szybko skierowała swoje tory na sztukę.

Wraz z Marią i Martinem byliśmy na szczycie Solán. Widok z niego to bajka, ale oprócz widoku znajduje się tam przepiękny dom, w którym mieszkał i pracował Alois Schneidera. Mieszka tam nadal jego żona ze swoją siostrą i prowadzą razem galerię. Wokół domu rozciąga się ciękwie zaaranżowany ogród, z którego korzystają artyści w trakcie plenerów. W nim można zobaczyć rzeźbę Martina

Gaji, który nam towarzyszył w tej wycieczce. Opowiadał o tym, jak zimą spadło tyle śniegu, że cała wyrzeźbiona w drewnie dziewczyna zniknęła pod śniegiem.

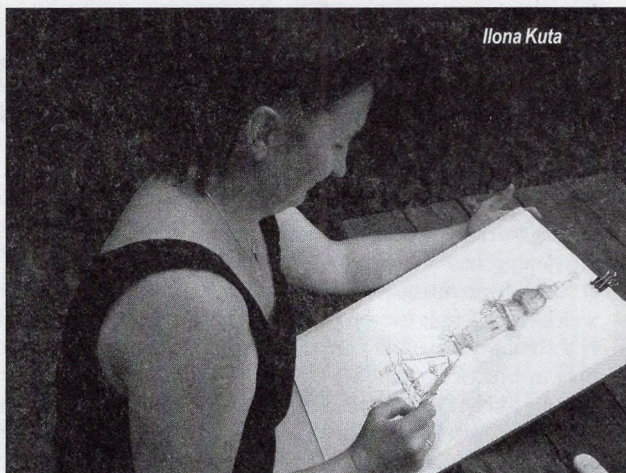
Na Solanie znajduje się hotel o tej samej nazwie, w którym można obejrzeć prace Karela Hofmana, z których według mnie najpiękniejsze były prace akwarelowe, przedstawiające górskie pejzaże. Artysta odważnymi plamami ukazywał górskie mgły, chmury i przebijające się przez nie słońce, czyli wszystko to, co namalować tak trudno, by nie otrzeć się o kicz.

Maria poznała nas z wytwórcą dud, a także fletów z różnych rodzajów drewna i rogów. Pan Pavel Čip wraz z synami odtwarza stare zabytkowe dudy dla zespołów muzycznych i muzeów, zajmuje się również ich renowacją. Zaprezentował nam kilka rodzajów instrumentów, grając na nich. Ja z kolei spróbowałam wydać kilka dźwięków na flecie z rogu.

Tyle zobaczyliśmy pięknych miejsc, tyle poznaliśmy ciekawych osób, że nie sposób o wszystkich napisać szczegółowo. Wszędzie witano nas serdecznie i ciepło. Maria starała się, byśmy z Ulą nie siedziały beczynnie. Zwiedzałyśmy Karłowskie Muzeum, a także kaplicę p.w. św. Ducha w Staré Zubří. Zwiedzałyśmy częściowo Kromeriz, który przywitał nas strugami deszczu. Nie udało się obejrzeć całych pałacowych ogrodów.

Już w dzień wyjazdu, w drodze powrotnej Maria umówiła nas z malarzem Antonim Kroca. W ogromnej pracowni składającej się z kilku pomieszczeń znajdowały się setki obrazów. Nie byłybyśmy w stanie obejrzeć ich wszystkich pewnie i w kilka dni. Całej naszej wycieczce towarzyszył nam Rožnov, z pięknym kolorowym, starannie odnowionym rynkiem, gdzie spędzałyśmy rzadkie wprawdzie, wolne chwile przy kawie. Był jeszcze jeden nieodłączny towarzysz naszej podróży, krajobraz gór. Czarował nas swoim widokiem, który nigdy nie był taki sam. Mgły, chmury, słońce, deszcz odmieniały je w tysiącu odsłonach, jakby za każdym razem pokazywały nową twarz. Oprócz wspomnień i rysunków przywieźliśmy z Rožnova coś jeszcze, przepiękną pocztówkę, z której miasto słynie. Żałowałyśmy tylko jednego podczas tej podróży, że mamy zbyt mało czasu na malowanie. Bo Rožnov to idealne miejsce dla tych, którzy lubią uwieczniać to co widzą za pomocą rysunku lub malarstwa.

Ilona KUTA
 Foto: archiwum



Ilona Kuta



U. Łukomska, M. Chlebowska, I. Kuta na Radhoście



Urszula Łukomska

Teatralne przestrogi

Dla dzieci, młodzieży i dorosłych



Tak się złożyło, że w minionym sezonie niemal wszystkie pozycje programowe miały coś z doraźnej życiowej przestrogi. Niekiedy przyniesionej w formie lekkiej i przyjemnej, a niekiedy w formie ostrego eksperymentu teatralnego czy też osobistych spotkań z artystami.

Sławny byczek Fernando

Któż nie pamięta rozmarzonego byczka Fernando, miłośnika ukwieconych łąk i piękna przyrody, którego przypadkowo wzięto za groźnego zwierza. Nie sprawdził się na arenie, bo po prostu miał dobry charakter, a jak wiadomo dobro zawsze zwycięża zło. Tak przynajmniej powinno być we wszelkiej twórczości adresowanej do dzieci. I te kryteria spełniła sztuka hiszpańska Hunro Leata "Byczek Fernando", wyreżyserowana przez Artura Szycha ze Studia Teatralnego "Blum" z Ośrodka Kultury Wierzbak w Poznaniu. W sali Spółdzielni Mieszkaniowej w Śremie obejrzało go około 300 dzieci. Jak mówili wykonawcy, Lucyna Winkiel i Artur Szych, dzieci wszędzie reagują podobnie i zachwycają co trafnie. Tak też było i w Śremie. Niezmiennie zastanawiające jest też pełne rozumienie przez dziecięcą widownię umowności scenografii i rekwizytów, której nie ma już u dorosłych. To, co im wdaje się prymitywne i ubogie, dzieciom otwiera całe zaczarowane światy.

Zanim zostaniesz aktorem

Spotkanie z artystami poznańskiego Teatru Muzycznego Katarzyną Terlecką i Wiesławem Krupą mogło być szczególnie interesujące dla młodzieży zgromadzonej w sali restauracji "Relax". W znacznej części poświęcone było bowiem motywacjom i możliwościom zdawania do szkół aktorskich. Zderzaniu wyobrażeń z rzeczywistością, że jest to zawód trudny, a nawet okrutny, wymagający poświęceń, a i tak przecież nie każdy zostaje Bogusławem Lindą. Trzeba więc wkalkulować w swoje plany wieloletnią wędrówkę po różnych teatrach i brak stałego "gniazda". Zanim wóz Tespiś Katarzyny Terleckiej i Wiesława Krupy zawitał na stałe do Poznania, były teatry w Bydgoszczy, Toruniu, Olsztynie, Radomiu, Białymstoku. Mamy nadzieję, że kiedyś usłyszymy tych artystów wykonujących dla śremskiej publiczności najpiękniejsze duety operetkowe.

Czy to jest miłość?

Przestroga i nauka, jaką może dać nam teatr, najwyraźniej zabrzmiała w spektaklu pt. "Wybrani" w kaliskim Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego. Inspirację przedstawiła stanowiła sztuka Jeana Geneta "Parawany". Ten

tworzący jakiś czas w więzieniu utalentowany pisarz francuski jest okrutny w swych utworach. Zresztą analiza postawy człowieka wobec okrucieństwa, była jednym z bardziej rozpowszechnionych zabiegów dramaturgicznych w okresie powojennym we Francji. I w tym sensie Genet wpisuje się w swoje czasy, jest tylko ostrzejszy i bardziej bluźnierczy niż inni.

Za tworzenie kaliskiego spektaklu wzięła się młoda absolwentka krakowskiej PWST Agata Duda-Gracz. Jeżeli zestawi się literackie tworzywo Geneta z bezkompromisową osobowością artystyczną młodej reżyserki, to otrzyma się przedstawienie ostre jak brzytwa. I tak było w Kaliszu. Mimo uprzedzenia, że rzecz jest tylko dla dorosłych, można było doznać szoku, bo już na początku nastąpiło to Hitchcockowskie "trzęsienie ziemi" i tak było do końca. Na widowni zapanowała kompletna cisza. Niemi obserwowaliśmy burzę nienawiści i pogardy i to, że nawet najbardziej pogardzany człowiek będzie szukał sobie drugiego, którym jeszcze bardziej może pogardzać.

Do nędznej algierskiej wioski przyjeżdża objazdowy burdel, rujnując nie tylko jej obyczaje. Wydarzenia odsłaniają charaktery ludzkie. I nawet epizod wojenny zmienia tu mało, bo ludzi nie ulepsza i nie oczyszcza. Niewiele jest tu nadziei. Może jakieś jej przebliski. Pod warstwą wulgarnej przemowy głównego bohatera do szpetnej żony można zauważyć ślad prawdziwego uczucia, czy też w nieśmiałej próbie pogłaskania innej nieszczęśliwej kobiety przez niewiernego męża. Wiemy, że cały ten wielki krzyk z tego ludzkiego śmietnika jest dramatycznym protestem nie pogodzenia się z rzeczywistością, ale wychodzimy z teatru przygnębieni. Stanowczo nie jest to sztuka dla szerokiej publiczności.

Można jednak powiedzieć, iż zostaliśmy szczególnie uhonorowani, bo zaproszono nas na spektakl przedpremierowy, na którym reakcja publiczności jest jedną ze wskazówek do ostatecznego ukształtowania przedstawienia. I tak zaraz po zakończeniu aktorzy zostali poproszeni przez reżysera na omówienie, a my udaliśmy się na spotkanie z dyrektorem teatru Robertem Czechowskim. Był to bowiem już nasz dziesiąty wyjazd do teatru kaliskiego i okazja do zaznaczenia szczególnej teatralnej przyjaźni z tą placówką.

U siebie

Obraz naszych poczyniń nie byłby pełny, gdyby nie wspomnieć o spotkaniu z poznańską aktorką Karoliną Ja-

wiak-Ulewicz, która czytała fragmenty książki Krystyny Jandy pt. "Moja droga B." Był to przyjemny wstęp przed do rocznym Walnym Zebraniem Stowarzyszenia.

Potem była tradycyjna Wigilia ze śpiewaniem kolęd intonowanych przez Feliksa Królikowskiego i wspomagające go panie z chóru "Moniuszko".

Początek roku należał do młodzieży licealnej ze spektaklem "Po drugiej stronie lustra". I po raz kolejny można się było przekonać, że nie jest to już tylko amatorstwo, ale całkiem dobrze zarysowane rzemiosło teatralne. Kto nie widział, niech żałuje i liczy na szczęście, że jeszcze gdzieś ten teatrzyk "Na strychu" będzie można zobaczyć.

Jak oszukać urząd czyli

"Z rączki do rączki"

Pierwsza w tym roku kalendarzowym wizyta śremian w Teatrze im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu upłynęła w nastroju lekkostrawnej rozrywki. A ponieważ w teatrze nic nie dzieje się ot tak sobie, to i z tej sztuki wypływa przecież poważna nauka, którą nieustannie weryfikuje życie. Bo czy od dzieciństwa nie jesteśmy pouczeni, że kłamstwo nie popłaca? A jednak wciąż poddajemy się tej słabości. Utało się powiedzenie "niewinne kłamstwa". No, ale właśnie sztuka, którą obejrzelśmy w Kaliszu pokazuje, że ich skutki mogą nas przerosnąć. Zwłaszcza, jeżeli "niewinne kłamstwa" zaczną zuchwale przybierać coraz większe rozmiary.

Tak więc na oczach widzów palą na panewce kolejne świetne pomysły niejakiego Eryka Swana, mężczyzny chwilowo bez pracy, co nie znaczy, że bez zajęcia. "Główka pracuje" cały dzień po to, aby wyłudzić z opieki społecznej kolejne świadczenia. Prowadzi to w końcu do ściągnięcia inspekcji do domu przy 344 Chilton Road i wówczas zaczyna się to, co i tak było do przewidzenia - demontażu czy raczej runięcia całego tak zgrabnie funkcjonującego gmachu oszustw. Jednak, jak to w farsie bywa, wszystko kończy się dobrze, bo główny bohater znajduje w końcu posadę głównego specjalisty od wykrywania "przekrętów" w tymże biu-
rze opieki społecznej.

Kaliska realizacja sztuki "Z rączki do rączki" ma kilka zalet gwarantujących jej powodzenie u widzów. Przede wszystkim tekst wyszedł spod ręki Michaela Cooneya, syna znanego dramaturga, ale też legitymującego się już własnym całkiem sporym dorobkiem, a farsy "Z rączki do rączki" nie powstydziliby się mistrz gatunku, jego ojciec Ray Cooney. Reżyser przedstawienia Paweł Pitera uchodzi za specjalistę od komedii, ale jest twórcą wszechstronnym. Ma na koncie seriale telewizyjne, filmy fabularne, dokumentalne, widowiska, teatralnie. Takie doświadczenie daje pewność w operowaniu środkami wyrazu. A farsa to rzecz łatwa w odbiorze, ale nie dla autorów. Dla nich jest to egzamin wysokiej próby. Także dla aktorów. To w tym gatunku

sprawdza się poziom ich aktorskiego rzemiosła. I można spokojnie powiedzieć, że kaliscy aktorzy po raz kolejny udowodnili, że potrafią nim władać.

Czego uczy nas teatr

Tegoroczny Międzynarodowy Dzień Teatru obchodziliśmy z opóźnieniem, gdyż trzeba było ustąpić miejsca Niedzieli Wielkanocnej. Nie mniej ten już kwietniowy wieczór w śremskiej restauracji "Relax" miał równie uroczysty charakter. Odwiedziły nas dwie aktorki z zaprzyjaźnionego Teatru im. Wojciecha Bogusławskiego w Kaliszu - Ewa Kibler i Bożena Remelska.

To bardzo przyjemne dla nas, że dostała się naszemu stowarzyszeniu zaraz na początku spotkania pochwała i podziękowanie za wierną przyjaźń do kaliskiego teatru i niezwykłą rozmowa z najmłodszymi uczestnikami spotkania. Chodziło o to czego oczekujemy od teatru. Choć później i dorosła publiczność się rozkręciła i puściła w polemikę. Nie do rozstrzygnięcia oczywiście, bo i o gustach trudno dyskutować, a i teatr musi kusić ofertą bardzo zróżnicowaną. Najważniejsze, żeby dalej przemawiał i zawsze znajdował wiernych widzów.

Randka w ciemno

Wizyta w teatrze gnieźnieńskim była ostatnim akcentem sezonu 2004/2005 dla Śremskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Teatru. Obejrzelśmy tam również farsę. Była to sztuka Robina Hawdona "Wieczór kawalerski". Autor zna teatr od podszewki, sam był bowiem przez długie lata aktorem. Stąd jego sztuka jest idealnie dopasowana do możliwości wykonawczych aktorów. Wszystko dzieje się tu tak, jak w porządnej recepcie na farsę - najpierw niespodziewane wydarzenie, a potem te wszystkie nieprawdopodobne przypadki w ogólnym chaosie, który powinien trwać aż do opadnięcia kurtyny. To się Hawdonowi udało. Wieczór kawalerski niejakiego Billa kończy się "bliskim" poznaniem pięknej Judy, a wszystkie wyniki z tego konsekwencje uniemożliwiają zaplanowane wcześniej małżeństwo. Nieprawdopodobne? Ależ w farsie wszystko jest możliwe, nawet to, w co nie uwierzyłoby małe dziecko. W tempie, w jakim toczy się farsa widz nie ma czasu się nad tym zastanawiać - musi nadążyć za akcją. Gnieźnieńscy wykonawcy sprostali wszystkim regułom grania tej bardzo trudnej formy teatralnej. Można się tylko zastanawiać, czy nie zabrakło trochę subtelniejszego operowania tonacją. Jednak wówczas trzeba uważać, aby nie wypaść z tempa akcji, bo można by łatwo "położyć" całą sztukę. Potrafią to tylko ci, którzy świetnie opanowali warsztat aktorski.

Tak więc te dwie farsy, jakie mogliśmy oglądać za zakończenie sezonu dały nam porównanie i tę pouczającą refleksję.

Barbara NOWICKA

Praca zajęła II miejsce w konkursie "Literackie wariacje na temat..."

„Zbrodnia w muzeum”



„Kolejna tajemnicza śmierć w Muzeum...”- głosił nagłówek porannej gazety.- Czytałaś?- spytał żonę pan Leon.

-Co takiego?- odpowiedziała pytając pani Magda, która właśnie kończyła przygotowanie omletów na śniadanie.

- No dzisiejszą prasę! Znowu znaleźli trupa w muzeum! - urwał Adamczak.

- Znowu? No tak... to już trzeci w ciągu dwóch tygodni... dziwne - odparła kobieta siadając koło męża.

-Posłuchaj!- zaczął czytać pan Leon - „...zwłoki znaleziono wczoraj wieczorem w sali starożytnej. Ofiarą był ochroniarz muzeum. Sekcja zwłok nie wykazała śladów morderstwa ani samobójstwa. Z muzeum zniknął amulet pochodzący z ok. 2040 lat przed Chrystusem. Policja nie podaje szczegółowych informacji. Z nieoficjalnych źródeł wiemy, że nie znaleziono śladów włamania...”

-No to koniec twojego urlopu! - zakończyła żona.

- Tak, będę musiał pójść po południu do tego muzeum i zbadać tę sprawę...Zapowiada się pracowity tydzień - westchnął mężczyzna.

Około 1400 pan Leon szedł właśnie ulicą prowadzącą do Muzeum Miejskiego, gdy usłyszał za sobą głos:

-Szeffe! Szeffe! Szeffe poczeka!- zawołał z oddali mężczyzna.

-A, to ty!-odwracając się powiedział chłodno pan Adamczak.- Jak się mają sprawy z tym „morderstwem”?- zapytał mężczyznę.

-Moim zdaniem to on wykorkował ze starości.- odpowiedział Antek

-A ty też tam idziesz?- Leon wskazał na budynek w końcu ulicy.

-Nie! Ja idę do domu. Mieszkam trzy ulice za muzeum- dodał podwładny.

Dalszą drogę spędzili na rozmowie o sprawach codziennych.

Leon wchodząc po schodach, ujrzał kartkę na drzwiach.

Wejście było zamknięte, więc zapukał w szybę. Wkrótce podszedł starszy pan.

- Słucham? Muzeum nieczynne! Czytać pan nie umiesz? Powiedział staruszek.

-Może umiem. Leon Adamczak- Wydział Śledczy.-odpowiedział pokazując odznakę.

-A to trzeba było tak od razu, że z policji...! Kręcą się tu dziennikarze i chcą coś wywęszyć.-usprawiedliwiał się kustosz muzeum.

-Rozumiem . Proszę mnie zaprowadzić na miejsce zbrodni.-dodał komisarz

Idąc, powoli mijał wiele zabytkowych obrazów, rzeźb i przedmiotów.

Przeglądał się im z zaciekawieniem. Uświadomił sobie, że jeszcze nigdy tutaj nie był, choć mieszka w tym mieście już od kilkunastu lat.

Kiedy doszli wreszcie na miejsce Leon ujrzał przed sobą ogromną salę.

Pomieszczenie to było poświęcone wyłącznie kulturze starożytnego Egiptu.

Na prawo znajdował się zbiór fotografii i papirusów. Lewą stronę zajmowały przedmioty pochodzące z wykopalisk, między innymi amulety, biżuteria, przedmioty codziennego użytku. Centralna część sali była najbardziej wyeksponowana. Pośrodku stała metrowa figurka czarnego psa.

-Gdzie leżały zwłoki?- spytał komisarz po chwili zastanowienia.

-Tu, były ułożone tak, jak mumie w sarkofagach- kustosz wskazał na posadzkę przed posągiem.

-A tamci poprzedni? Gdzie ich znaleziono?- kontynuował pan Leon.

-Też tutaj i też w takiej samej pozycji.- odparł staruszek.



Autorka odbiera nagrodę z rąk M. Kondzieli - dyrektora Muzeum Śremskiego

-I mówi pan, że nic pan nie słyszał? -dopytywał dalej komisarz.

-Nie! Nic, a nic! - odparł.

-I nikogo poza stróżem i panem tu nie było? - ciągnął Adamczak.

-Był jeszcze drugi ochroniarz, ale on był ze mną. Właśnie mieli się zmienić...

kiedy znalazłem go... tu... tak jak tamtych... ciągle śnią mi się koszmary-urwał staruszek i zakrył twarz dłońmi. - Ale chyba mnie o to pan nie podejrzewa... Po co miałbym to robić? - otrząsnął się po chwili.

-Každy może być podejrzanym! Nawet ja. Niech pan się tym nie martwi-uśmiechnął się komisarz.

-Dobrze! Mogę jeszcze w czymś pomóc? - spytał kustosz.

-Nie! Właściwie tak! Co to jest? Wskazał Leon na figurkę psa.

-To posąg Anubisa! Egipskiego boga śmierci. Przedstawiany był właśnie jako postać czarnego psa, bądź szakala. Został do nas przywieziony dwa tygodnie temu z wykopalisk w Egipcie. Ma prawie pięć tysięcy lat. Fascynujące prawda? -przejął się kustosz.

-Tak! Dziękuję bardzo, może pan już iść, ja jeszcze się rozejrzę! -odparł Leon.

Komisarz podszedł do figurki i zaczął się jej dokładnie przyglądać. Położył rękę na głowie psa i w tym samym momencie poczuł mrowienie w całym ciele. Odskokzył. Uznał, że musi stąd jak najszybciej wyjść.

Wrócił do komisariatu i zaczął przeglądać akta poprzednich spraw. Każda ofiara w dniu swojej śmierci pełniła pierwszą zmianę w zachodnim skrzydle, a zwłoki znaleziono w części wschodniej. Nie odkryto żadnych śladów przenoszenia.

Było już późno, więc postanowił pójść do domu, a zaraz z samego rana ponownie odwiedzić muzeum.

Długo nie mógł zasnąć. Zastanawiał się nad sprawą. W końcu jednak sen go zmorzył. Śniło mu się coś wyjątkowego a zarazem przerażającego.

Stał sam w jakimś wielkim mrocznym pomieszczeniu. Nagle pojawiła się chmura jasnego pyłu, z której wyłoniła się jakaś istota. Był to smukły czarny pies. Jego wąskie oczy świeciły na czerwono. Zwierzę spojrzało w kierunku Leona i zmrugało oczami. W tym samym momencie mężczyzna poczuł znowu silne mrowienie. Pies zerwał się i zaczął biec. Komisarz biegł za nim. Znaleźli się w jakimś labiryncie pełnym pajęczyn, kurzu i zapachu stęchlizny. Kiedy biegli, Adamczakowi przed oczami migły jakieś drastyczne sceny. Widział jak znajdują jego zwłoki właśnie w muzeum, w sali starożytnego Egiptu. Był ułożony jak poprzednie ofiary. Próbował dogonić psa.

W pewnym momencie zwierzę zniknęło, a Leon spostrzegł, że znajduje się w wielkiej złotej sali. Na środku stał złoty postument. Ruszył w jego stronę. Znowu pojawiła się chmura jasnego pyłu. Mężczyzna przystanął i czekał na to, co się zaraz stanie. Kiedy pył opadł, ujrzał ludzką postać z głową psa. Komisarz skamieniał ze strachu.

-Przekleci- wy, którzy ośmielacie się zakłócać spokój wielkiego boga śmierci Anubisa - rzekła postać. - Śmierć zawita do waszych domów, boście zbezczeszczyli święte miejsce i zabralście mnie z niego!

Nagle zrobiło się ciemno i wszystko zniknęło, a Leon ocknął się z krzykiem cały złany potem.

-Co się stało? Co ci się śniło? - spytała żona, którą właśnie obudził krzyk męża.

-Nic! Nie teraz! Nie mam czasu! Przepraszam - odparł nieskładnie mężczyzna i wybiegł z łóżka.

Dochodziła 700. Za oknem było już jasno, więc mężczyzna szybko ubrał się, wsiadł do samochodu i pojechał do muzeum. Zadzwonił do drzwi kustosza.

-Kogo niesie o tak wczesnej porze? - narzekał starszy pan -To pan! Miał pan przyjść o 900!

-Tak wiem, przepraszam, ale już wiem co się stało z tamtymi ochroniarzami. Teraz tylko pan może mi pomóc. Mam niewiele czasu- wyjął pospiesznie komisarz.

Po drodze do muzeum komisarz opowiedział cały sen i to, co zdarzyło się wcześniejszego dnia.

-Mówi pan, że chce pan zawieźć posąg z powrotem do Egiptu. Stracimy cenny eksponat, to niemożliwe- sprzeciwił się kustosz.

-Ale tu chodzi o moje życie i o życie innych ludzi- bronił swojego pomysłu Leon.

-No dobrze, ale jak pan sobie to wyobraża, że ja go teraz w torbę zapakuję, wsadzę do samolotu i wysadzę w Egipcie.

-Tym niech się pan nie martwi, ja się tym zajmę. Potrzeba mi tylko zgody muzeum na zabranie go stąd.

Kilka godzin później komisarz już czekał na lotnisku na samolot odlatujący do Kairu, a skrzynia z Anubisem była zapakowana w ładowni. Na miejscu miał ją odebrać ktoś z tamtejszego muzeum.

Podróż odbyła się bez żadnych zakłóceń. Około godziny 1800 wylądował na lotnisku w Kairze. Delegacja zabrała skrzynię z posagiem i zawiozła go do Narodowego Muzeum Egipskiego. Adamczak- zmęczony podróżą- udał się do hotelu na nocleg, ponieważ samolot powrotny miał dopiero nazajutrz rano. Wieczorem, zdejmując płaszcz, znalazł w swojej kieszeni zaginiony smulek w kształcie skarabeusza.

Na powrocie do domu opowiedział całą tę historię żonie. Obiecał, że kiedy weźmie następny urlop, najpierw odwiedzą egipskie muzeum, a potem pojadą do Egiptu, zobaczyć jak się miewa sprawca całego tego wydarzenia.

Alicja MICHALAK

Śremski Ośrodek Kultury

ul. A. Mickiewicza 77,
tel.28 35 904, fax.28 10 081,
e-mail: sok@srem.pl, www.sok.srem.pl



ZA NAMI

"KOŁOROWE MIASTO" - odbyło się osiem happeningów plastycznych (w każdą wakacyjną środę), podczas których farbami, muzyką i zabawą ożywiałyśmy różne miejsca naszego miasta.



Malowanie trafostacji przy ul. 1 Maja, malowanie trafostacji przy ul. Chopina



"Kolorowe szmatki" - zabawa przy miniMAL-u,



"Kredowy Śrem" na Pl. 20 Października



"Bezpieczne wakacje" - na stacji Statoil, na stacji BP





"Wesołe wojsko",



"Stacja pudełkowo" zbudowana na targowisku

GEWAWISKO 2005 - VII Otwarte Prezentacje Artystyczne Dzieci i Młodzieży

3 lipca na placu przy Spółdzielni Mieszkaniowej 22 dzieci prezentowały swoje zdolności artystyczne w czterech kategoriach: taniec, piosenka, mini playback show i żywe słowo



PIĄTKI NAD WARTĄ - w każdy piątek o 21.00 w plenerze przy Ośrodku odbywały się projekcje filmowe lub koncerty muzyczne.



PRZED NAMI

OBCHODY 25-LECIA "SOLIDARNOŚCI"

-27.09 godz. 19.00 DKF "KLAPS" - Wydarzenia Sierpniowe w filmie i dokumencie

-październik - wystawa tematyczna w holu Kina "Słonko"

-14.09 godz. 18.00 sala Kina "Słonko" - Salon Artystyczny "Śremski Sierpień 80" - promocja wydawnictwa. Gośćmi salonu będą autorzy publikacji.

W każdą sobotę i niedzielę o 19.00 zapraszamy na projekcje aktualnego repertuaru filmowego.

W każdy wtorek o 19.00 zapraszamy na projekcje interesującego kina.

Nowa propozycja: trzeci wtorek miesiąca DKF-OFF - spotkanie z kinem niezależnym i jego twórcami

Średniogłowy repertuar kinowy: w gablotach, na stronie internetowej oraz całodobowa informacja telefoniczna pod nr 28 30 710

KINO

BIBLIOTEKA PUBLICZNA MIASTA I GMINY W ŚREMIE



*Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy
im. Heliodora Święcickiego w Śremie*

AKCJA "Lato 2005"

w Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy Śrem

Podczas AKCJA LATO 2005 w Bibliotece Publicznej Miasta i Gminy i jej filiach organizowane były dla dzieci różnorodne zajęcia i imprezy. W siedzibie biblioteki przy ul. Kilińskiego spotkania pod hasłem "Wakacyjne łamigłówki" oraz "Spotkania z bajką" odbywały się w poniedziałki i wtorki w godzinach od 11.00 do 13.00. W tym czasie, dla grupy ok. 15 dzieci, panie bibliotekarki organizowały imprezy czytelnicze, plastyczne i teatralne. Był także czas na rozwiązywanie zagadek i quizów literackich oraz przeprowadzenie tematycznych konkursów i turniejów.

W filii biblioteki na Jezioranach podczas czwartkowych spotkań pt. "Wyruszamy w Polskę" dzieci poznawały wybrane regiony i legendy Polski. Propozycja ta spotkała się ze sporym zainteresowaniem i była dobrym przygotowaniem dla przyszłych obywateli, którzy w przyszłości samodzielnie będą przemierzać Polskę podczas wakacyjnych wędrowek. Na początku wakacji, pod koniec czerwca, dla dorosłych czytelników zorganizowana została wycieczka do Cichowa, z której skorzystało ok. 50 czytelników.

Filie wiejskie biblioteki w swoim programie na lato oferowały dzieciom bardzo zróżnicowane formy zajęć: czytelnicze, plastyczne, teatralne, sportowo-rekreacyjne, zabawy dydaktyczne, konkursy. We wszystkich spotkaniach uczestniczyło od kilku do kilkunastu najmłodszych mieszkańców Błociszewa, Niesławina, Pyszącej i Wyrzeki. (J.K.)

POZNAJEMY WIELKOPOLSKĘ

W czasie tegorocznych wakacji Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy organizowała częściowo odpłatne wycieczki autokarowe dla dzieci i rodziców. Jednak największym powodzeniem wyjazdy te cieszyły się wśród emerytów z Klubu Seniora prowadzonego przez niezmordowaną Panią Barbarę Jedlińską. W dniu 27 lipca zwiedzaliśmy zamek i arboretum w Kórniku oraz specjalnie przygotowaną ekspozycję najstarszych i najcenniejszych woluminów Biblioteki Kórnickiej.

10 sierpnia byliśmy w Rogalinie. Zwiedziliśmy z przewodnikiem pałac, powozownię i Galerię Malarstwa. Wielkie wrażenia na zwiedzających zrobiły wspaniałe, gromadzone przez Raczyńskich zbiory malarstwa (m.in. obrazy Malczewskiego, Wyczółkowskiego, Chełmońskiego, Gierzyńskiego, Wyspiańskiego), a przede wszystkim monumentalny obraz Jana Matejki pt. "Dziewica Orleańska". Dzięki uprzejmości księdza Wojciecha z parafii św. Marcelego w Rogalinie udało nam się zwiedzić kościół i podziemia, w których znajduje się mauzoleum z sarkofagami pochowanych członków rodziny Raczyńskich. W 1993 roku spoczął tam Edward Raczyński, prezydent RP na Uchodźstwie. Nad sarkofagiem znajduje się także wymowne motto - ostatnie przesłanie Wielkiego Polaka: "... NIE ZMARNUJ CIE NIEPODLEGŁOŚCI". Rogalin - to także największe w Europie skupisko wiekowych dębów. Przy staruszkach "Lechu", "Czechu" i "Rusie" uczestnicy wycieczki zczyli sobie dębowej kondycji i zdrowia oraz zrobili pamiątkowe zdjęcie.

Ostatnią wycieczką był wyjazd w dniu 24 sierpnia do Cichowa, gdzie w skansenie filmowym "Soplicowo", przy muzyce zespołu "A TO MY", odbyła się impreza plenerowa. (J.K.)

CO? GDZIE? KIEDY? - NOWY MIESIĘCZNIK

Z inicjatywy Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy im. Heliodora Święcickiego w Śremie, od lipca b.r., wydawany jest nowy bezpłatny informator społeczno-kulturalny. Znaleźć w nim można informacje o imprezach kulturalno-oświatowych, sportowych, turystycznych i ważnych wydarzeniach w Śremie, Dolsku, Brodnicy i Książu. Układ terminarza wydarzeń ma formę miesięcznego kalendarza, co znacznie ułatwia odbiorcom zaplanowanie sobie udziału w imprezie w konkretnym dniu miesiąca. Informator, którego nakład wynosi 5.000 szt. dostępny jest w sieci sklepów PSS "Społem" na stacjach benzynowych i placówkach kultury oraz na stronie internetowej www.biblioteka.srem.pl Miesięcznik ukazuje się dzięki zabiegom firmy "Media & Plastyka" oraz licznym reklamodawcom.

JEŻELI ORGANIZUJECIE PAŃSTWO IMPREZE, FESTYN, ZAWODY- POINFORMUJCIE NAS - A PODSTAWOWĄ INFORMACJĘ "CO? GDZIE? KIEDY?" ZAMIEŚCIMY W NASZYM TERMINARZU BEZPŁATNIE.

Kontakt: tel. (0)608 622 113, (0)507 474 332, e-mail: makpi@wp.pl lub Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy, ul. Kilińskiego 2, tel. (061) 28 35 467, e-mail: biblioteka@srem.pl

Jerzy Kondras

KOPALNIA WUJEK - 16 grudnia 1981 r.

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ ODDZIAŁ W POZNANIU

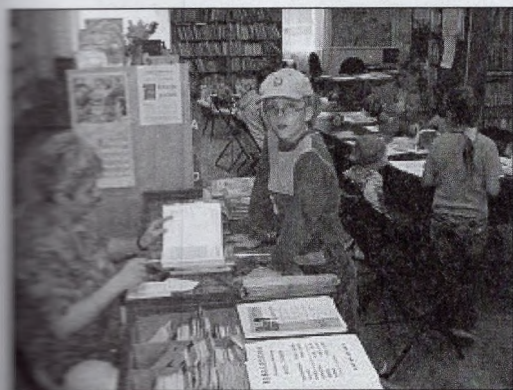
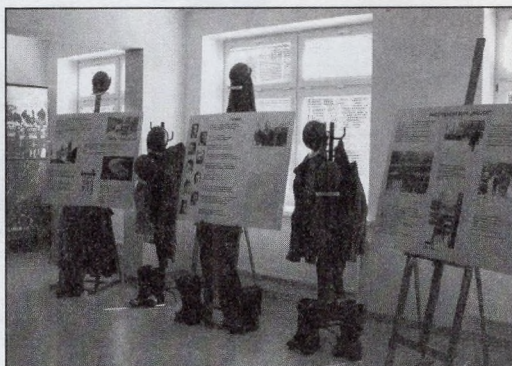
BIBLIOTEKA PUBLICZNA MIASTA I GMINY IM. HELIODORA ŚWIĘCICKIEGO W ŚREMIE

uprzejmie zapraszają wystawę pt. KOPALNIA "WUJEK" - 16 grudnia 1981 r. Wystawa eksponowana jest w Collegium Heliodora Święcickiego w Śremie (UAM, ul. Grunwaldzka)

Prezentowana wystawa opowiada o tragicznych wydarzeniach, jakie rozegrały się po wprowadzeniu stanu wojennego w 1981 roku podczas pacyfikacji kopalni w Katowicach. Aranżacja scenograficzna, na którą składają się m.in. elementy oryginalnej górniczej szatni łańcuskowej, wyposażenie funkcjonariuszy MO oraz 18 plansz ze zdjęciami i opisami z okresu stanu wojennego, przypominają nie tylko o poległych górnikach, ale również o tych, którzy do nich strzelali. (Wystawa czynna do 18 października 2005 r., w godz. od 9.00 do 16.00).

UNIwersYTET LUDZI CIEKAWYCH ŚWIATA - INAUGURACJA

Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy im. Heliodora Święcickiego w Śremie serdecznie zaprasza członków Uniwersytetu Ludzi Ciekawych Świata oraz nowych słuchaczy na inaugurację roku akademickiego 2005/2006 w dniu 29 września o godzinie 18.15. Wykładowcą będzie pan Jerzy Wartak - świadek historii, członek Komitetu Strajkowego w Kopalni Węgla Kamiennego "Wujek" w 1981 roku. Miejsce wykładu: Collegium Heliodora Święcickiego w Śremie, ul. Grunwaldzka.





Katarzyna Grzegorzcyk
prezenterka TV Relax

GAZETA ŚREMSKA - siedziba redakcji - Muzeum Śremskie, 63-100 Śrem, ul. Mickiewicza 89, tel. 061/28 35 938,
e-mail: muzeum@srem.pl, www.muzeum.srem.pl

Redagują: Mariusz KONDZIELA (redaktor naczelny), Barbara JAHNS (redaktor prowadzący).

Wydawca: Urząd Miejski w Śremie

Skład komputerowy, fotonaświetlanie: WIGO, Śrem, tel./fax (061)28-30-216, e-mail: wigo@pro.onet.pl

Druk: S. Tomczak, Śrem, tel. (061) 28-35-068.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń i reklam oraz zmiany programów i terminów wprowadzonych po oddaniu numeru do druku.